



N^o 48.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 25 listopada 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Poczta listowa (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Wystawa przemysłowo-rolnicza (dokończenie, z 2 drzeworytami). — Przegląd polityki zagranicznej. — Rysunki charakterystyczne Franciszka Kostrzewskiego (drzeworyt). — Korespondencja z Krakowa. — Pojedynek szlachejnych, komedia (dalszy ciąg). — Liszków (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Listy ze stolicy Węgier. — Bolesław Podczaszyński (dokończenie). — Bogata ciotka (z drzeworytem). — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Wystawa powszechna paryzka (z drzeworytem). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).



Kronika tygodniowa.

K r a j o w a.

Pora obecna zbiera plony obfite z pola sztuki, a nade wszystko muzyki. Koncerty na studentów uniwersytetu, pana Barcewicza, pani Jakowickiej i pana Wierzbickiego należą już do przeszłości, wprawdzie niedalekiej; ale przyszłość, również niedaleka, niemniej pod tym względem zapowiada się obficie. Pan Arwed Porten wiolonczelista wytąpi z koncertem lada dzień, po nim zaś ukaże się na estradzie koncertowej pan Górski, nie tylko jako skrzypek, lecz także jako kompozytor. Co do p. Portena, ten niezawodnie nie będzie miał powodu do żalów na niepowodzenie, jest bowiem... cudzoziemcem. Inna rzecz, gdy idzie o pana Górskiego. Artysta ten potrzebuje życzliwego poparcia. Jako urodzony Warszawiak, jako skrzypek, którego słyszymy tak często, jako pracownik na niwie własnej, nieowiany ponętą atmosferą obczyzny, nie może tak łatwo... stąpać po kwiatach. Publiczność zresztą ceni wyżej nowość, niż cichą a rzeczywistą zasługę i talent, kroczący drogą poważną.

Obyśmy się jednak mylili! Byłaby to omyłka bardzo przyjemna, mianowicie ze względu na to, że p. Górskiemu najsprawiedliwiej pod słońcem należy się sympatya i gorący poklask publiki.

Sprawozdania miesięczne Biura dla szukających pracy przedstawiają cyfry często bardzo nuczające i wymowne. Ostatnie np. powiada, że na 122 kandydatów do posad technicznych, miejsc zaofiarowanych jest tylko 20. W dziale ogólnym na 251 kandydatów ofiarowano posad 7 (!). W dziale handlowym kandydatów jest 143, posad tylko 11. W dziale naukowym (nauczyciele prywatni i korepetytorzy) liczba miejsc jest tylko o połowę mniejsza od liczby kandydatów.

Z tych wszystkich cyfr dadzą się wyciągnąć wnioski następujące: 1) ludziom wykształconym technicznie niewiele łatwiej dzisiaj o pracę i zarobek, niż ludziom bez żadnej specjalności; 2) ci, którzy się trudnią nauczaniem innych, najłatwiej znajdują zajęcie; 3) ci którzy żadnej specjalności nie posiadają, szukają go prawie bezowocnie. Wogóle więc położenie nie nader świetnie się przedstawia. Ogólne cyfry wykazują, że na cztery osoby poszukujące pracy, jedna zaledwie ją znajduje. Co się więc robi z trzema, które jej znaleźć nie mogą?... Przepuszczamy że jedna z nich dostaje ją za pośrednictwem stosunków prywatnych, to i tak reszta ma przed sobą perspektywę nędzy i głodu.

Widok to bardzo smutny. O chleb trudniej z dniem każdym, a zakres pracy i zarobku ścieśnia się, zamiast rozszerzać.

Ciekawym byłoby uzupełnieniem sprawozdań Biura notowanie ruchu rzemieślników. O ile się zdaje, w rzemiosłach tylko i w działalności fabrycznej i przemysłowej ruch ten się zwiększa; pracowników dobrych nigdy tam zawiele, wynagrodzenie za pracę coraz wyższe, lub w najgorszym razie nie mniejsze, niż przed laty kilku. O cyfry takie niezmiernie trudno, bo trzeba by je zbierać ze źródeł wielu, często niepewnych i zawodnych; lecz kto wie, czy nie wykazałyby one, w którą stronę zwrócić się należy tym wszystkim, co chcą mieć pewny kawałek chleba.

Spragnionym dowcipu i wesołości możemy donieść, że przed kilkoma dniami wyszedł już z pod prasy „Kalendarz humorystyczny Muchy.“ Posiada on liczne ilustracje najlepszych humorystów ołówkowych. W części literackiej zawiera sporą wiązanek prozy i wierszy, w których dowcip (tu i owdzie niesmaczny i niesmakiem tym rażący) przepłata się z ironią, a pod ponętą postacią żartu kryje się bardzo często trudna do przelknięcia pigułka gorzkiej prawdy. Jestto właściwość satyry, która nie tylko bawić, ale i chlostać powinna.

W ostatnich czasach weszło w modę szerokie rozprawianie o okrucieństwie wydawców, którzy tuż się krwią i potem białych murzynów-literatów. Bywa, co prawda, rozmaicie, lecz o ile wiemy ani jedna strona nie jest w ogóle tak... okrutna, by tylko krzywdę bliźniego miała na celu, ani druga tak naiwna, by tylko okruszynami z pańskiego stołu żywić się dawała.

Jednakże wspaniałomyślność nie jest znowu stałym przymiotem wydawców. Jako przedsiębiorcy, pragną oni zarabiać ile można najwięcej, i wkładając w to lub owo kapitał na ryzyko, sądzą iż w spodziewanym powodzeniu sami tylko korzyści szukać mają prawo. Istotnie prawo to mają; wyjątkowe więc odstępowanie części tego prawa na rzecz autora, powinno im być liczone za zasługę.

W tym przekonaniu notujemy fakt następujący.

Przed laty kilku do jednej z najpoważniejszych firm księgarsko-wydawniczych zgłosiła się panna K., z propozycją nabycia jej manuskryptu. Była to książka do nabożeństwa. Manuskrypt obejrzano, oceniono i kupiono za umówioną sumę. Warunkiem sprzedaży było, iż wydawcy nabywają prawo do wszystkich następujących wydań dziełka, bez żadnej w przyszłości dopłaty.

Po latach paru książka rozeszła się w zupełności. Pierwsze wydanie zostało wyczerpane i przystąpiono do drugiego. Panna K., ucieszyła się z pokupu swojej pracy, ale ani pomyślała że może on być korzystnym dla niej i pieniężnie.

Tymczasem stało się inaczej.

Pewnego... pięknego poranku posłaniec rzeczonoj firmy wręczył jej ślicznie oprawny egzemplarz drugiej edycji jej dziełka, pod którego okładką ujrzała z zadziwieniem... sumkę pieniędzy, równą połowie zapłaconego dawniej honorarium, z zawiadomieniem, że taką kwotę odbierze przy każdym następnym wydaniu.

Niespodzianka bardzo miła!..

Powab ten jednak straci ona niezawodnie, jeżeli i inni wydawcy zechcą ją naśladować—nieprawdaz? Na szczęście... niema o to bawny.

„Pojedynek szlachetnych,“ komedia konkursowa i premiowana Sewera, odegrana wczoraj z powodzeniem na scenie warszawskiej, a niedawno i na scenie lwowskiej, ukazała się w osobnej odbitce, jako drugi zeszyt „Biblioteki teatralnej.“ Taniósć i poprawność czyni to wydanie pożądanym, a pożądanym jeszcze, że jest dobrą wróżką dla „Biblioteki,“ która z czasem stanie się zbiorem pierwszorzędnych prac na polu naszego komedyo i dramatopisarstwa.

„Pojedynek szlachetnych“ znanym jest dobrze naszym czytelnikom, nietrudno im przeto przyjdzie sądzić o zaletach „Biblioteki,“ gdy nieobecni są zalety tej wyborniej komedyi.

Pisma nasze codzienne doniosły już o otwarciu Rady opiekuńczej przy Ochronie VII na Pradze. Obecnie proszeni jesteśmy o zawiadomienie, że w liście 22 dam, które w Radzie rzeczonoj przeczyły wziąć udział, opuszczono przez pomyłkę panią *Fischer*.

Zebrane na pierwszym posiedzeniu damy zobowiązały się wnosić na rzecz Ochrony stałe składki, w ilości dwustu kilkudziesięciu rubli rocznie. Zdaje się więc, że dzięki szlachetnej ofiarności pań opiekunek, byt materialny zbawiennej tej instytucji na trwałej spoczał podstawie, czego najserdeczniej jej życzymy.

Od jednego z zacnych kapłanów naszych w Mitawie otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny panie redaktorze!

Zdanie o mitawskiej uczącej się młodzieży, wypowiedziane przez p. Ścisława S. w artykule: „Przejażdżka po Kurlandji“ (n. 39 Tygodnika Ilustrowanego) tak jest bezzasadne, że pozostawić go bez odpowiedzi niepodobna. Zamieszkały od roku 1870 w Mitawie, miałem sposobność dosta-

tecznie poznać i ocenić polską młodzież tutejszą. Autor zaś wspomnianego artykułu, o ile się zdaje, powtórzył zdanie zasłyszane w Rydze, lub pochwycone w przejeździe tylko przez nasze miasto. Nie weźmie nam przeto za złe, jeśli mu zarzucimy nie złe chęci, lecz tylko niewiedomość w tym względzie. Już przy zestawieniu rygskiej młodzieży polskiej z mitawską, położony nacisk na „przykładne prowadzenie się“ pierwszej, a „niezbyt przykładne“ ostatniej zupełnie jest niesprawiedliwy. Sami nawet Ryżanie nie będą mogli temu zaprzeczyć.

Trudno nadto przypuścić, by ojcowie i matki wszystkich 70-ciu zamieszkałych tu rodzin polskich obojętni byli na „dobre obyczaje i zasady moralności“ swych dzieci. Przeciwnie, czujność ich i bacność tém bardziej może się rozwinąć w małym mieście, gdzie każdy wszystko widzi i słyszy. Przez cały czas mojego pobytu w Mitawie nie było ani jednej burdy, pijatyki lub tym podobnego nadużycia, w którémby polska młodzież tutejsza udział wzięła. O ile zaś nie zanęca buje naukowej pracy, świadczy liczba Polaków, kończących tu tejsze gimnazjum, nierazko z pierwszym numerem, lub medalem. Co do niekorzystania jakoby ze wspomnianych przez p. Ścisława S. wykładów języka polskiego, bezpłatnie ofiarowanych, faktowi temu stanowczo zaprzeczam. Młodzież nasza owszem prenumeruje wspólnie pisma peryodyczne, na wspólny koszt książki wypisuje i wspólnie, o ile tylko może, kształci się w tém wszystkiém, co obcém jej być nie powinno.

Chciój, panie redaktorze, uważać to sprostowanie moje za stwierdzone znajomością tutejszych stosunków i zamieścić je w swoim piśmie.

Ks. mieszkaniac Mitawy.

Z a g r a n i c z n a.

Dziewiąty rok wykładów popularnych dla kobiet w muzeum techniczno-przemysłowém krakowskiém rozpoczął się 4 listopada r. b.

Na pięciu wydziałach, a mianowicie: przyrodniczym, historyczno-literackim, sztuk pięknych, handlowym i gospodarczym, wykładają tam między innymi profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego Alth, Janikowski, Szujski, i Janczewski, docent tegoż uniwersytetu Ziemia, oraz znani w świecie naukowym dr. Karliński dyrektor obserwatorium astronomicznego, dr. Wierzbicki adiunkt tegoż obserwatorium, znakomity antropolog dr. Kopernicki, malarz Lipiński i p. Ryx, członek Towarzystwa rolniczego krakowskiego. Wistocie, skład nauczycielski muzeum przedstawia się bardzo pokaźnie.

Niektóre przedmioty, jak na przykład arytmetyka handlowa, nauka o wekslach, jedwabnictwo, pszczolnictwo i t. p., wykładane będą wtedy dopiero, gdy zapisze się na nie dostateczna liczba słuchaczek. Toż samo stosuje się i do lekcji języków, w liczbie których, ku niewysłowionemu zdziwieniu naszemu, między francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim, znaleźliśmy także polski. Miałoby w Krakowie zbraknąć uczenia, pragnących poznać gruntownie mowę swą ojczystą?...

Wystawę filadelfijską zamknięto 10-go listopada, z następującymi formalnościami. Dyrektorowie różnych jej oddziałów przemówili w krótkości, poczem sławna kapela Thomasa i chóry śpiewaków filadelfijskich, złożone z przeszło tysiąca głosów, wykonały hymn „America“ napisany z tej okoliczności. Prezydent Stanów Zjednoczonych obwieścił później w kilku słowach formalne zamknięcie wystawy. Przy ostatniém słowie jego mowy zatrzymano iskrę elektryczną motora Kolissa w gmachu maszyna, a tysiące warczących kół i zgrzytających warstatów stanęło w jednej chwili. Baterie umieszczone na wzgórkach Jerzego (tuż za parkiem wystawy) i statki na Delawarze zagrzębiały w oka mgnieniu salwą, żegnającą świetne półroczne widowisko. Obiad urzędowy dla zagranicznych komisarzy i sztuczne ognie na górze i w parku zakończyły ten dzień uroczysty.

Pomimo formalnego jej zamknięcia, wystawa będzie póty otwartą dla publiczności za zwykłą opłatą, póki towary złożone w pałacach nie zоста-

na odesłane lub sprzedane. Rządy kilku państw ofiarowały część swych okazów zarządowi wystawy; w podobny sposób postąpiło i mnóstwo wystawców amerykańskich. Ztąd utworzył się zbiór cenny, który w głównym gmachu (*Main building*) będzie złożony, jako zaród nieustającej wystawy przemysłowej, na wzór istniejącej w Londynie. Będzie to rodzaj bazaru, gdzie fabrykanci mogą bezustannie umieszczać swoje wyroby i zbywszy je, nowymi zastępować okazami. Pałac główny nie będzie więc zburzony i pozostanie, wraz z gmachem pamiątkowym, pawilonami japońskimi, angielskimi i innymi, przez obce rządy miastu Filadelfii darowanymi, ku ozdobie Fairmont parku i wspomnieniu stuletniej rocznicy amerykańskiej niepodległości.

Przegląd polityki zagranicznej.

24 listopada.

Odroczenie konferencji do pierwszych dni miesiąca grudnia zaniepokoiło opinią publiczną. Alarmiści skorzystali z tego faktu, usiłując wmówić w swych czytelników, że wojna już jest nieuniknioną, skoro nawet na zebranie się narad mocarstwa zgodzić się nie mogą. Nie potrzebujemy dowodzić, że zapatrywanie się na rzeczy ze stanowiska tak trwożliwego jest błędem. Pomimo otwartego zbrojenia się Rosyji i Anglii, nikt stanowczo twierdzić nie może, że uzbrojenia te konieczne do wojny doprowadzić muszą. Owszem, wskazówki pokojowe mnożą się z dniem każdym. Wspominaliśmy już w zeszłym tygodniu o okólniku ks. Gorczakowa, oświadczającym się za pokojem; dziś przytoczyć możemy notę tego kancлера do ambasadora rosyjskiego w Londynie, wykazującą również pokojowe usposobienie. Książę kanclerz wyraża swe zadowolenie, iż lord Derby w depeszy z d. 30 października uznał, że gabinet cesarski stara się działać zgodnie z Anglią. Jednocześnie kanclerz zbija zarzut, jakoby Rosyja miała widoki zdobycze na Konstantynopol. Z drugiej strony le Nord twierdzi, że Anglia odstąpiła od zasady bezwarunkowej niezawisłości Turcyi i trzymać się będzie jedynie nienaruszalności terytoryalnej tego państwa. Położenie jest więc groźne, lecz bynajmniej nie rozpaczliwe.

W d. 22 b. m. margrabia Salisbury przybył do Berlina i tegoż dnia odwiedził kanclerza niemieckiego. Bacząc na to że margrabia udaje się następnie do Wiednia, rozpuszczono pogłoskę o bliższym zawarciu przymierza między Anglią, Austrią i Niemcami. Sądzi się jednak iż narady angielskiego ambasadora z Niemcami i Austrią mają raczej na celu utworzenie drogi ideom pokojowym, aniżeli usiłowanie doprowadzenia jeszcze większego zagmatwania spraw wschodnich. Jedno tylko jest pewnym, że Anglia zbroi się i gotową jest do rozpoczęcia kroków zaczepnych w obronie Turcyi. Zapewniają nawet, że między nią a Turcyą stanęło przymierze, na mocy którego Anglia, w razie wojny, nadeszłe sto tysięcy wojska i dostateczną sumę pieniędzy. Nie poważamy się ręczyć za wiarygodność tego faktu i zaznaczamy go bez wszelkich komentarzy.

Telegram z Belgradu z d. 22 b. m. donosi, że wszyscy ministrowie serbscy podali się do uwolnienia. Powód tego przesilenia dotąd jest nieznan, wiadomo tylko iż dniem przedtem Czerniajew domagał się głosu i miejsca na radzie ministrów i że ci ostatni jednomyślnie odrzucili to żądanie. Inni utrzymują, że przesilenie to pozostaje w związku z misją senatora Marynowicza, który udał się do Petersburga, a ztamtąd jedzie do Wiednia, lecz nikt nie wie w jakim celu. W ogólności zapewniają, że Serbowie znużeni są wojną i radziby zawrzeć pokój jaknajprędzej. Nie zgadza się to wszelako z depeszą belgradzką z d. 21 b. m., która oznajmia, że część urlopowanej milicyi otrzymała rozkaz wyruszenia bezzwłocznie do pulków, a reszta stawić się ma w d. 22 grudnia.

OSTATNIE TELEGRAMY. Berlin, 22 listopada. Nat. Ztg. i Gaz. Krzyżowa utrzymują, że ogłosze-

nie depeszy angielskiej jest dowodem dążności do usunięcia wytyżenia stosunków między Rosyją i Anglią i do uspokojenia umysłów. N. All. Ztg. wprost oświadcza, że podróż p. Salisbury ma charakter wyraźnie pokojowy.

Bukareszt, 22 listopada. W odpowiedzi na mowę ks. Karola, senat wręczył adres, w którym również zaznacza potrzebę neutralności ze strony Rumunii. Na uzbrojenie i uzupełnienie armii izba uchwaliła cztery miliony.

Dubrownik, 22 listopada. Konsul turecki upraszał władze austriackie o dozwoleństwo swobodnego przemarszu dla wojska. Władze odrzuciły żądanie. Komisya demarkacyjna odbywa codzienne swe posiedzenia.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Timss).

Wystawa przemysłowo - rolnicza

w muzeum warszawskim.

(Dokończenie.)

Gdyby nas zapytano o sumienne zdanie, oparte na porównaniu naszych metalowych wyrobów z zagranicznymi, odpowiedzilibyśmy, że ilekroć nasi rękodzielnicy poprzestają na tworzeniu rzeczy li pożytecznych, produkując ich w niczem nie ustępując tamtym, ani praktycznością pomysłu, ani starannym wykończeniem, ani fasonem. Cynkowe gzymsy, żelazne ozdoby zewnętrzne, podkowy, którychby i król Sas nie złamał, zamki i roboty ślusarskie tegie i zgrabne, słowem wszystkie czysto użytkowe okazy zasługują na pochwałę bezwzględna.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż nawet rzeczy służące do codziennego użytku, tanie i dostępne dla klas średnich i rzemieślniczych, mogą być piękne, bez podnoszenia kosztu ich fabrykacji. I tak platerowane łyżki, tace, cukiernice i t. d. stały się dziś niezbędne sprządami średniej zamożności domów, będąc często jedynymi ich ozdobami. Dzięki Bogu, upływał wiek ów przechwalony, kiedy magnata stoły uginały się pod arcydziełami mistrzów, a stan średni jadał drewnianymi łyżkami i pijał z naczyń rogowych. Dziś, wobec łatwości odbytu i fabrykacji na wielką skalę, mistrze przygotowują modele owych slicznych drobiazgow, z tanich metalów odlanych, i do każdego domu mogą i powinny wchodzić rzeczy nacechowane dobrym smakiem, a niedroższe przytęm od niezgrabnych sprządów.

Popatrzmy uważnie dokola sali, której wnętrza nie opisujemy, zostawiając olówkom i ryłcom artystów tę znużającą dla pióra pracę, niemogącą dać tak dokładnego wyobrażenia o wystawie, jak dobra rycina. Spojrzawszy na tę ostatnią lub oglądając się pobieżnie po sali, zdaje się że rzeczy złote, srebrne, platerowane, emaliowane, z brązu i *vert antique*, odpowiadają wymaganiom powyżej wyrażonym. Blask ich olśniewa, a niezgrabność konturów nie od razu uderza.

Wziąwszy jednak pod krytykę szafę po szafie, przyszliznęliśmy jednak do przekonania, że kunsztmistrze nasi dość słabe mają pojęcie o ważności artystycznego wykończenia swoich wyrobów.

Sapienti sat. Jeżeli sąd nasz słuszny (a nie narzucamy go nikomu), to długo i wytrwale muszą się kształcić nasi jubilerowie, złotnicy, galwanoplastycy i t. d. i studyować wyborowe modele, zanim owionie ich choć w części ów duch artystyczny, co stale zamieszkał w pracowniach polskich malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, a nawet drzeworytników. Sądząc z wystawy obecnej, rozwój sztuk pięknych nie wpłynął dotąd na nasze masy i znajdujemy się w pozycji Niemców, co posiadając artystów genialnych, zgorszyli świat brakiem rysowników w giserniach, albo farbiarzy w przedziałach, mających oko czułe na piękność kształtów i harmonią barw.

Szkoły ludowe rysunku zdałyby się teraz u nas, jak w Anglii przed laty 20-tu. Potrzebujemy też krytyków estetycznej wartości rzeczy codziennych, bo zaprzeczyc trudno, że nadanie smaku

naszym rękodzielnikom i nauczanie ich, że odrobinka gustu otworzy ich wyrobom wstęp nie tylko u nas, lecz także za granicą, o wiele korzystniejsze owoce przyniesie dla narodu, niż zaprzatanie się wyłączne dziełami kilku mistrzów malarzy i rzeźbiarzy, a milczenie o niezgrabności kruszcowych wyrobów, na które lud codziennie patrzy.

Jeżeli zganiliśmy fasony i barwę przedstawianych okazów, musimy zato wyrazić pochwałę dla przyborów naukowych, jakimi n. p. pan Pik w tej sali się popisuje, i dla wynalazków mechanicznych p. Majorkiewicza, które na szerszej widowni pewnoby zyskały nie tylko oklaski—te i my dajemy—ale brzęczącą nagrodę.

Nie możemy podać w niniejszych łamach opisu pomysłów pomienionego mechanika. Nie podnosząc takiego figla, jak kalendarz wieczny obu stylów, z barometrem, kompasem słonecznym i nie wiemy już czém więcej (wszystko za 10 złp.), wymienimy inne, mniej drobiazgowo i dowodzące wszechstronności w wynalazkach. Gdy jeden człowiek wymyśli kłódkę i zamek kontrolujący otwieranie wagonów, przyrząd do przeróbki zboża, oraz aparat do gaszenia pożarów, wypadłoby pomysłu o zaprezentowaniu go publiczności, lepiej niż nasza oceniającej płodność mechaniczną.

Że mamy i innych wynalazców, przekonaliśmy się w następnej sali, pomijając nawet aparat p. Staffa do dzielenia płynów, dawniej już w Tygodniku opisany.

Jak mamy nazwać tę komnatę? chyba aneksem maszynowym. Czyż nie widzieliśmy tam w ruchu maszyny o sile jednego ramienia, pochodzącej z zakładu p. Fajansa i wobec nas syjącej biletów wizytowe, których 1000 może odbić w godzinę? Owa jednoramienna drukarnia w cenie nie przewyższa zagranicznych, a pracuje lepiej od nich, albowiem wynalazca zebrał w niej wszystkie zalety cudzoziemskich maszyn tego rodzaju, usunął zaś złe ich strony.

W tej-że sali widzieliśmy piękną próbkę roboty stolarskiej i ślusarskiej: okno podwójne i drzwi modrzewiowe, z orzechowemi listewkami, roboty p. Tworowskiego, okute brązem w pracowni p. Mrówczyńskiego. Panowie ci nie mieli konkurentów.

Obok wyrobów p. Fajansa, oglądaliśmy laryngoskop wynalazku dra Heringa. Zamiast opisywania go, podamy fakt ciekawszy dla niefachowych czytelników, że aparat ten ogromne znalazł uznanie w Wiedniu, gdy go tam niedawno przedstawiono.

Sala ta mieści także zbiór maszyn do szycia, z fabryki p. Kraszewskiego, i kilka łóżek wyrobu p. p. Boehmer i Neufeld, z których jedno jest rodzajem nowości w naszym lądowym kraju, albowiem składa się z dwóch łóżek, umieszczonych jedno nad drugim, jak w sypialniach okrętowych.

Wreszcie doszliśmy do ostatniej sali, gdzie znów stoją łóżka, obok tak zwanych pryszniców i wanny, w której siedzącą osobę kropi z góry deszcz rześisty. Aparat wynalazku p. Bremera prysznicuje z góry, z dołu i z boku. Znać że nie Yankes go wynalazł, albowiem przyrząd do pompowania wody zewnątrz umieszczono, wymaga więc posługacza. W innych krajach kąpiący się sam sobie świadczy taką usługę.

Ukończywszy swą przechadzkę, wychodzimy do przedsionka ze wspomnianymi już szafami ogniotrwałymi, a ztąd do sieni na dole, gdzie umieszczono doskonały i kompletny zbiór aparatów ratunkowych przy pożarach, dający dokładne pojęcie o całym rynsztunku straży ogniowej warszawskiej.

Opuściliśmy wreszcie muzeum z przekonaniem, że Warszawianie wyrabiają dużo rzeczy godnych widzenia i kupowania i że przemysłowcy nasi wstąpili na drogę postępu, nie lękając się ubiegania się o pierwszeństwo wobec najlepszego sędziego, bo uszczypliwych czasem reporterów, kundmanów szukających rzeczy najlepszych i najtańszych, a wreszcie licznę, ciekawę i rozgadną publiczność.

S. W.



Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim. Sala płodów rolniczych.



Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim. Sala wyrobów ze skóry.



Rysunki charakterystyczne Franciszka Kostrzewskiego. Do profesora na stacyą.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, w połowie listopada.

W ostatnich dniach października odbyły się u nas wybory poselskie z gminy miejskiej, o których wstępnych przygotowaniach w poprzednim liście donosiłem. Aż do ostatniej prawie chwili wszystko szło spokojnie i jakby ubitym torem; żadne widoczne i gwałtowniejsze agitacje nie tamowały robót komitetu przedwyborczego i nie krzyżowały jego planów. W całym mieście miało to przekonanie, że bez żadnej walki przejdą proponowani przez komitet, to jest wszyscy trzej dawniejsi posłowie. Przy głosowaniu próbnym oni też mieli największą liczbę głosów za sobą. W wigilię wyborów jednak zdarzył się wypadek, przynajmniej dla ogółu i wyborców niespodziewany, że jeden z kandydatów, polecony przez komitet, p. Zyblikiewicz, został wybrany w Chrzanowie. Wtenczas dopiero wystąpiła pewna agitacja w imieniu czwartego kandydata, mającego po trzech poleconych rzeczywiście największą liczbę głosów, gdyż otworzyło się dla niego miejsce. Komitet przedwyborczy nie odstąpił jednakże od swej propozycji z tej uwagi, że wybór pana Zyblikiewicza w Chrzanowie nie został jeszcze potwierdzony. Jakkolwiek racya ta nie dla wszystkich była dosyć zrozumiałą, większość wyborców poszła za wskazówką komitetu i dała swe głosy kandydatom proponowanym. Wybrani więc zostali p. p. Leon Chrzanowski, dr. Majer i Zyblikiewicz. Ponieważ, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ten ostatni mandat z Chrzanowa przyjmie, w Krakowie przeto powtórne wybory, dla uzupełnienia liczby posłów, będą musiały być rozpisane, przy których naturalnie będzie chodziło o wybór tylko jednego jeszcze posła. Tegoż samego dnia odbyły się także wybory jednego posła z tutejszej Izby handlowej i wybranym został dr. Rapaport. Rezultat ten był podobno dla znacznej części członków Izby handlowej całkiem niespodziewany.

Oprócz publicznych, z pewną uroczystością połączonych, pełnych posiedzeń, akademia umiejętności mięwa także posiedzenia prywatne, w początku roku uniwersyteckiego. Tego rodzaju posiedzenie odbyło się właśnie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, a kilka wybitniejszych spraw na niem traktowanych podać winienem do wiadomości czytelników „Tygodnika“.

Akademia rozstrzygnęła konkurs dawniej ogłoszony na opis jakiejś części ziemi polskiej. Na konkurs ten nadesłanych było pięć prac; z tych wycofano jedną, dwie nie dopełniały warunków formalnych konkursu, bezimiennosci autora mianowicie, a z dwóch pozostałych, rozprawa napisana przez dra Sieniawskiego, nauczyciela gimnazjalnego w Düsseldorfie, mieszcząca w sobie opis historyczno-topograficzny dawniej dyccezyi warmińskiej, uznana została, zdaniem referentów i wydziału, za godną pierwszej nagrody, drugiej zaś nikomu nie przyznano. Ogłosiła także akademia nowy konkurs imienia Kopernika, ustanowiony, w r. 1873 przez miasto Kraków, o którym pisaliśmy już szczegółowo.

Sprawozdanie zarządu podało również do wiadomości, że akademia, do wielu innych swoich funduszów, otrzymała w tym roku jeszcze jeden, pochodzący z Warszawy od pani Góreckiej, córki ś. p. S. B. Lindego. Fundusz ten, złożony już przez p. Górecką akademię, wynosi 4,500 rubli, od których procent co trzy lata ma być użyty jako nagroda za najlepszą pracę w zakresie języka i słownictwa polskiego. Fundacya, według woli legatorki, otrzymała nazwę imienia Lindego.

Z uchwał dotyczących budżetu na rok następny zasługuje na uwagę to, że honorarium za rozprawy w pismach akademickich umieszczone, podniesionem nieco zostało, ale równocześnie akademia zrobiła takie zastrzeżenie, aby te rozprawy nie były dłuższe nad trzy arkusze. Niektórzy chcą w tém postanowieniu widzieć skuteczny bardzo środek przeciwko literackiemu gadulstwu, bo też i prawda, że najtrudniej napisać rzecz ważną a treściwą.

Z książek świeżo wydanych przez akademię, a przedstawionych członkom na posiedzeniu, zasługuje szczególnie na zwrócenie uwagi, nietylko z powodu swęj ważności, ile z przyczyny nowości tej publikacji, książka w języku niemieckim p. t. „Bibliographische Mittheilungen über die Publicationen der Akademie der Wissenschaften in Krakau.“ Jest to opis bibliograficzny, opatrzone zwieźlém podaniem treści rozmaitych rozpraw, umieszczonych bądź w Pamiętniku, bądź w Sprawozdaniach akademickich, jakoteż i dzieł osobno staraniem lub nakładem akademii wydanych. Takie same wiadomości bibliograficzne o akademii ukażą się niezadługo także w języku francuzkim. Celem, łatwym zresztą do zrozumienia, akademii w tych bibliograficznych biuletynach jest to, ażeby ułatwić zagranicy poznanie prac przez uczony świat polski dokonanych, albo przynajmniej dać choćby przybliżone o nich wyobrażenie. Wyboru nowych członków, którzy już byli proponowani i na posiedzeniu publiczném tego roku ogłoszonymi zostali, tym razem nie dokonano, z powodu braku kompletu członków na końcu posiedzenia.

Na wystawie sztuk pięknych widzieć można było w ostatnich czasach dwie nowe prace Matejki: „Święty Ludwik, wybierający się na krucyatę“ i „Wacław Wilczek z Czeszowa, na murach klasztoru w Trzebiecach w Morawie, odpiérający napad Macieja Korwina.“ Piérwsza z nich stanowi drobny szkic tylko do większego zapewne obrazu, druga zaś, pomimo nazwy pod jaką ją wystawiono, nie jest obrazem historycznym, ale portretem, zrobionym prawdopodobnie na żądanie intesosowanych osób. Postać Wilczka okazała, pokazuje wojownika męznego i z siłą woli.

Z nowych książek pojawiły się jeszcze Szujskiego: „Roztrząsania i opowiadania historyczne.“ Dość gruby tom ten zawiera w sobie drobniejsze prace historyczne, pisane w latach 1866—1870. Są to po części rozbiory krytyczne, po części monografie historyczne, jak St. Staszic, Maryna Mniszchówna i t. p., a pomiędzy ostatnimi niektóre, jak „Pielgrzymka Ottona III do Gniezna“, powstały z prelekcji publicznych. Wszystkie były już poprzednio drukowane w „Przeglądzie polskim“ i obecnie zebrane zostały w książkę z tego powodu, że jak autor powiada: „pismo to miesięczne w niewielkiej liczbie egzemplarzy się rozchodziło.“

Przygotowuje się tu także wydanie dzieł pozostałych po ś. p. Julianie Bartoszewiczu, o którym w tych czasach w niektórych pismach warszawskich donoszono, podjęte przez syna zmarłego historyka, i dziś można je już uważać za rozpoczęte. Najprzód ukaże się przedruk Historii literatury w dwóch tomach, piérwsze bowiem wydanie pomnożone zostanie materiałami i notatami, przygotowanymi jeszcze przez autora; podobno znajdą także i inne niektóre, lubo drobne, zmiany w poglądach. Następnie pójdą cztery dzieła zupełnie przez autora wykończone: Dzieje Polski do czasów Kaźmirza Sprawiedliwego w 4 tomach; Anna Jagiellonka, czyli życie domowe królów polskich 2 tomy; Aleksander Jagiellończyk i Adam Kisiel po jednym tomie. Oprócz tego w spuściznie po Bartoszewiczu pozostało jeszcze kilka prac niewykończonych zupełnie, które jednak mogłyby przynajmniej w ważniejszych epizodach być drukowane; do tych należą: Życie ojca króla Stanisława Augusta, Życiorys Hozyusza, Dzieje Biały Radziwiłłowski i Dzieje unii w dwóch tomach.

Habent sua fata libelli! a jeżeli kto, to pewnie heraldycy i genealogowie mieli sposobność nieraz to sobie powtórzyć. Niedawno p. Amilkar Kosiński, autor tak bardzo przed laty czytanych powiastek żołnierskich, wydał tutaj przewodnik heraldyczny rodzin senatorskich w Polsce, w kształcie Almanachu gotajskiego. Niewiele czasu upłynęło, a doznał on losu, jaki już przedtém spotykał Niesieckiego i innych, to jest, że gradem posypały się na niego rozmaite wyrzuty, pretensye i skargi, iż tego lub owego antenata pominął, a innego znowu dotknął nazbyt ostrym sądem, wreszcie pogrózki, zapowiadające autorowi roz-

prawę nietylko literacką, lecz nawet i sądową. Te oznaki niezadowolenia musiały być dosyć liczne, skoro p. Kosiński widział się zmuszonym za protestować przeciwko nim publicznie. Dawno to już wiadoma rzecz, że nie trudniejszego jak dogodzić próżności ludzkiej. Zresztą i o tém wiedzieć trzeba, że dzieło p. Kosińskiego wyszło dopiero w jednej części, i, jak wszystkie podobnego rodzaju prace, może, a nawet musi być poprawiane i pomnażane.

W muzeum dra Baranieckiego lekcye rysunków i malarstwa dla kobiet rozpoczęły się w piérwszych dniach października, wykłady zaś na innych wydziałach z początkiem b. miesiąca. W programie wykładów niema żadnej różnicy od lat poprzednich, tylko w gronie wykładających zaszły niejakie zmiany. Z przyszłemi losami tego zakładu mają styczność rozprawy, jakie niedawno toczyły się w tutejszej Radzie miejskiej, czy sale piętrowe w Sukiennicach, po dokonaniu ich restauracyi, mają być przeznaczone na pomieszczenie muzeum, czy też na inny cel. Zdaje się, że decyzya zależeć będzie najwięcej od tego, czy dr. Baraniecki, do którego też w tym względzie się odwołano, uzna te sale za odpowiednie i wystarczające na umieszczenie zbiorów muzealnych, jakoteż na wykłady.

Umarł tutaj 13 b. m. znany publicysta i członek akademii umiejętności Maurycy Mann, pokrótce słabości, w 62 roku życia. O zasługach literackich zmarłego rozpisywać się tu nie będę, w przypuszczeniu, że Tygodnik poda zapewne wkrótce osobny jego życiorys.

W początku b. roku szkolnego habilitował się w tutejszym uniwersytecie na docenta geografii powszechnęj dr. Franciszek Czerny. Oprócz nieco dawniejszych dwóch prac z historii polskiej i po polsku napisanych, ogłosił on także drukiem dwie rozprawy z zakresu geografii w języku niemieckim, a z tych jedną w geograficznych wiadomościach Petermanna. Najświeższa ta habilitacya tém więcej jest pożądaną, że geografia w tutejszym uniwersytecie nie ma katedry i dotąd wykładaną nie była. Pan Czerny jest Krakowianinem, wychowawcem tutejszych szkół i uniwersytetu. Dwie wakujące katedry na wydziale filozoficznym: filozofii i historii austriackiej, nie zostały jeszcze obsadzone. Dr M. Straszewski, autor dzieła o Janie Śniadeckim, jako zastępca profesora, wykłada filozofią, na katedrę zaś historii austriackiej przedstawionym został z dwóch kandydatów, którzy się do konkursu zgłosili, dr. Stanisław Smolka, syn znanego posła Franciszka Smolki, będący już od niejakiego czasu docentem krakowskiego uniwersytetu.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ch aktach,
ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA
przez
Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

KUFF.

Dziękuję. (Do siebie.) Szkoda go. Mówi po łacinie jak Salustyusz. (Głośno.) Ufam własnym siłom.

LORD.

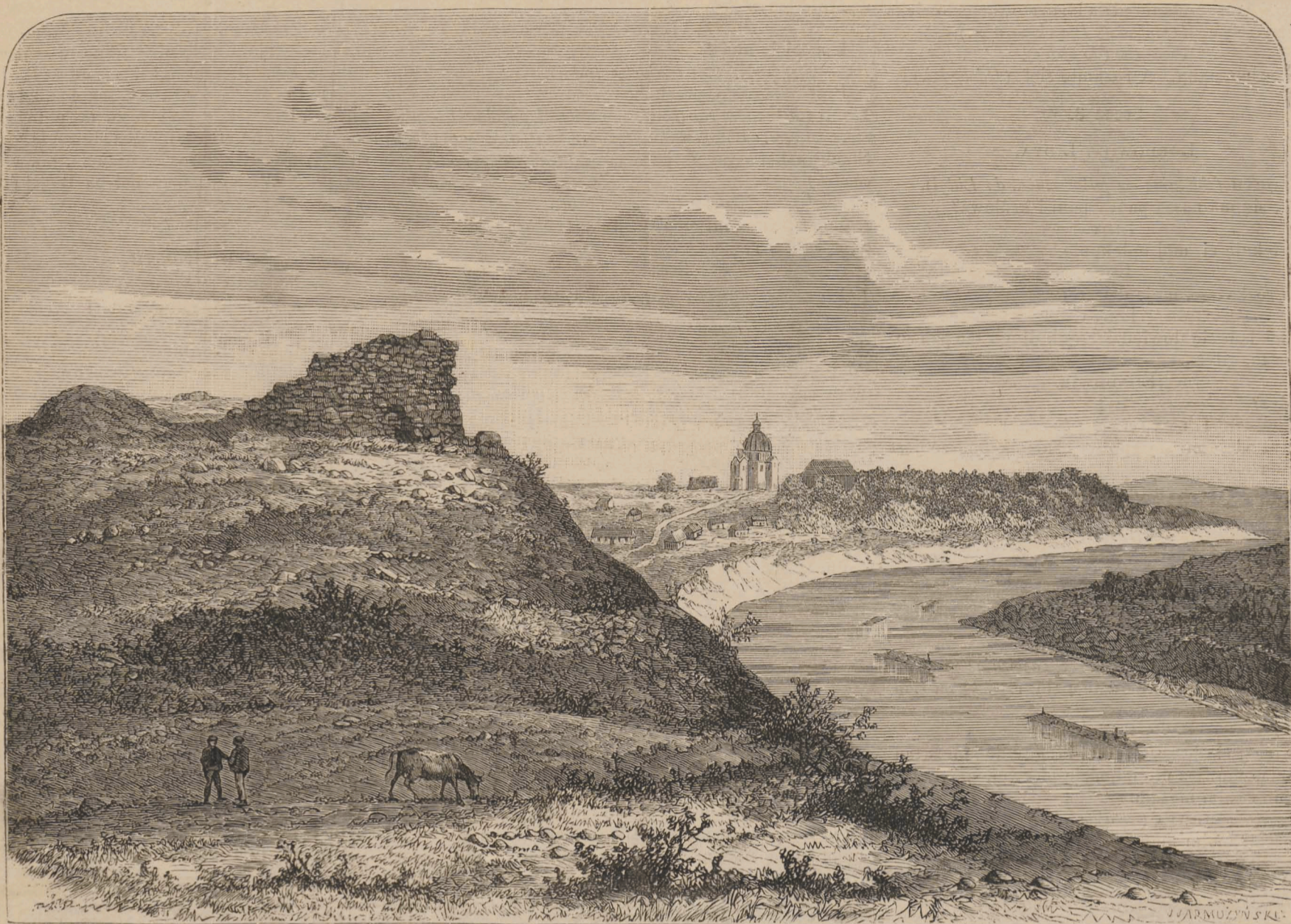
Któż dotąd wąpił o potędze wymowy pana Kuff?

NORTH (do siebie).

Jak ja się wybornie bawię! (Cicho do lorda.) James, cóż powiemy chłopcu?

LORD.

Zobaczysz. (Z drzwi po prawej stronie widzów wchodzi Lidya. Lord, spostrzegając ją, do Kuffa.) Powierzam jego opiece więźnia i proszę zabrać go z sobą.



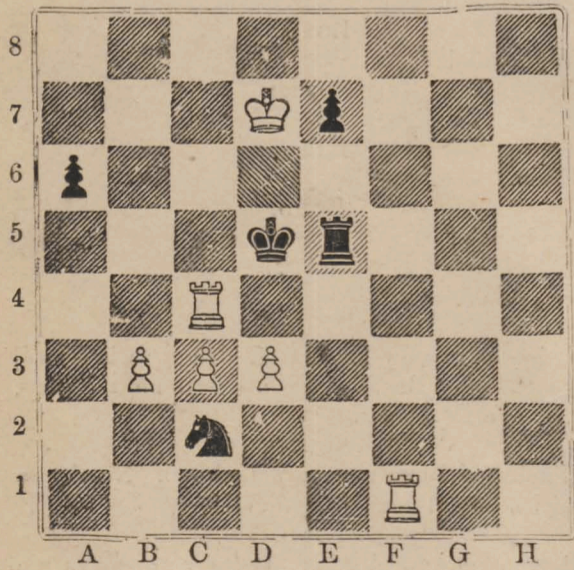
Liszków, w gubernii suwalskiej.

297

SZACHY.

ZADANIE XLI.

Białe zaczynają i dają mat za 4 posunięciem.
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 40.

Białe.

Czarne.

- 1) D1—H1 . . . 1) G2—H1 biorą (a).
- 2) C6—C2 . . .

albo:
(a) 1) G2—H3.

- 2) C6—H6.

KALENDARZ

HUMORYSTYCZNY - ILLUSTROWANY

„MUCHY”

dla porządných ludzi

NA ROK 1877.

Opracowany przy spółdziale wszystkich prawie naszych humorystów; ozdobiony 75 rysunkami: Andriollego, Kostrzewskiego, Szymanowskiego, Szwojnickiego, Głębockiego, Paprockiego i Mucharskiego.

Objętości 14 arkuszy druku.

Opuścił prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

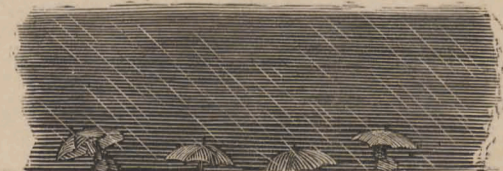
po cenie kop. 50.

z przesyłką do miejscowości Królestwa i Cesarstwa kop. 60.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

298



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 47.
Na licha mi patenta, gdy z buta wylazi pięta.

Liszków.

Liszków, a raczej Liszkowo, po litewsku *Liszkiawa*, jest wioską w gub. suwalskiej, w okolicach Druskienniki i Merecza, z pięknym, daleko widocznym kościołem, wzniesionym na wysokiej nadniemeńskiej górze. Stronę i wyniosłą inną górę nad Niemnem zawdzięcza ta miejscowość swoje historyczne stanowisko w dziejach Litwy; takich bowiem miejsce, na dawne czasy warunkowych, poszukiwano do badania zamków, które stawały się ogniskami życia prowincyi, teatrem dziejowych wypadków i początkiem bardzo wielu miast. Kraków, Wilno, Lwów, Grodno, Płock i setka grodów lub wioszek innych wzniosły się u podnóża podobnych gór zamkowych.

Teodor Narbutt zaczyna historią Liszkowa aż od r. 1044, oddając go we władanie książąt słowiańskich na Grodnie, którzy mieli tu założyć w owym czasie *Nowogrodno* czyli Nowogródek (nadniemeński), co na język litewski tłumaczy się *Naujapille*, od *naujas* nowy i *pillis* zamek, ogród. Krzyżacy istotnie, jak to wiemy z ich latopisa Wiganda, nazywali później w tych stronach jakiś nad Niemnem zamek *Nauenpille*. Prawdopodobnie było to Liszkowo, którego dzisiejsza nazwa powstała dopiero w czasach królowania Jagielly, kiedy monarcha ten nadał włość powyższą niejakiemu Liszkowi Zybinie. Ta nowa nazwa, zatarłszy poprzednią, zagmatwała dawniejszą historią Liszkowa. To pewna, że gdy Mongołowie około r. 1241 znieśli Grodno i panowanie Hlebowiczów w tych stronach, Litwa zajęła spustoszony kraj, wraz z zamkami. Jeżeli można wierzyć opowiadaniu Narbutta, to Mendog koronował się na króla Lettowii z żoną swoją Martą, nie w Nowogródku krywiezańskim, ale w obozie pod Nowogródkiem nadniemeńskim, czyli pod dzisiejszym Liszkowem.

Na pierwszej górze od południa, zewsząd spadzistej, którą się najprzód spotyka płynąc Niemnem, książęta litewscy wzniesli w czasach napaści krzyżackiej warownię z dobieganych polnych głazów granitowych, branych na wapno, a przekładanych warstwami oddzielnego rodzaju twardej jak kamień cegły, spojonej znamienitym cementem. Cztery baszty okrągłe, a zapewne i mur obwodowy, tudzież dębowe ostrokoły, składały potężną, jak na średnie wieki, twierdzę naszych projców pogan. Wieże te z grubego muru na pochyłości góry wznoszące się, oddalone od siebie na 7 do 10 sążni, 3 do 4 miały średnicy.

Hufce krzyżackie opierały się nieraz o *Nauenpille*, a Wigand opowiada, że r. 1380 przednie straże niemieckie wymordowały pod tym zamkiem wielu mieszkańców okolicznych, poczem gdy przybyło wojsko z działami, przypuszczono na jutro szturm do twierdzy. Wtedy poganie, którzy pierwszy raz ogniście pociski usłyszeli, przejęci trwogą, poddali się, w liczbie trzech tysięcy.

Czy już w tamtych czasach zamek liszkowski poszedł w ruinę, nie wiemy; to pewna, że do budowy dzisiejszego kościoła i klasztoru w Liszkowie brano głazy z warowni. Dziś muru obwodowego nie ma ani śladu, z trzech baszt pozostały tylko fundamenta, a z czwartej wysoka na parę sążni rozwalina, którą widzimy na rycinie. U podnóża jej od strony Niemna jest otwór, idący w kierunku poziomym, ale zaciśnięty do wejścia. Otwór ten, wedle mniemania okolicznych mieszkańców, prowadzi do sklepów w górze zamkowej, w których ukryte są ogromne skarby, strzeżone przez złęgo ducha.

Miejscowy lud litewski nazywa zameczysko to *pilakalnis*, *pilkalnas*, co znaczy dosłownie zamkowa góra, od *pillis* zamek i *kalnas* góra. Pozostała zaś rozwalina baszty zowie *milziós-gintuwe*, olbrzymów baszta, lub *muras-milžinu*, mur olbrzymów, a nawet, jak podaje p. Giegużyński, *muras murinu*, mur murzynów. To istotnie zadziwiające nagromadzenie tylu wielkich głazów na tak stromej górze, nie dziwnego że przypisuje lud olbrzymom, o których takie same jak lud nadwiślański ma pojęcia. Głuche tylko wieści dolatują

jeszcze o krwawych bojach z Krzyżaki i o paleniu bogom ofiar na tej górze i oltarzu zwanym *žinicza*, t. j. wyrocznia, świątynia. Oryle, przepływając Niemnem koło góry, ukazują sobie szczyt zamku, jakoby przed wiekami więzienie brata i siostry.

Cały prawie wierzchołek góry w pobliżu baszt zarzucony jest wielkimi glazami, które tu i owdzie ułożone systematycznie, niby w rodzaju duńskich dolmenów, znaczą groby i zwane są przez lud mogiłami Tatarów. Na pierwszy rzut oka poznawszy że to są groby, zdziwiłem się iż nasi uczeni, zwiędzający Liszków, nigdzie o nich nie wspomnieli, uważając je za szczyt ruin. Może jaki litewski *kunigas* lub *bajoras*, skolnity w bojach i w obronie rodzinnych siedzib, okryty setnemi bliznami, znalazł cichy spoczynek w tym rozkosznym ustroniu Litwy, dopóki nie poruszą jego prochów starożytnicy.

Do góry zamkowej przytyka inna, mniejsza, także nad Niemnem położona, na której są szczytki fundamentów pierwotnego kościoła liszkowskiego, wzniesionego tu w wieku XV. Niedawno jeszcze na miejscu tém stała starożytna lipa. Dalej w dolinie leży wieś Liszków i płynie strumień poruszający młyn, przy wejściu do Niemna. Nad wioską wznosi się znowu wzgórze, a na niem piękny kościół, na wzór rzymskiej bazyliki świętego Piotra, zbudowany w początku zeszłego wieku przez o. o. dominikanów liszkowskich. Obok świątyni stoi gmach byłego klasztoru, otoczony sadem owocowym, za którym ciągnie się bór sosnowy i Niemen płynie w głębokim jarze, a na spadzistej pochyłości szumią olwieczne dzikie grusze. Dominikanie, do których klasztoru Liszków należał, usiłowali ongi wieś tę zamienić na miasto i celem podniesienia handlu sprowadzili do niej Żydów, którym wszelkie wolności zabezpieczyli. Nie przyniosło to jednak weale pożądanego skutku; ludność bowiem starozakonna, nie podnosząc fabryk ani rzemiosł, tylko monopolizując handel kramarski, pracuje wyłącznie na rzecz swjej odrębności, a lud rolniczy w wioskach takich przychodzi zwykle rychło do ubóstwa. Tak też się stało i z Liszkowem.

Roku 1796 dominikanie tutejsi, wskutek zabrania im dóbr przez rząd pruski, rozjechali się z Liszkowa do innych klasztorów. W opustoszałym ich gmachu w czterdziestu lat później pomieszczono księży demerytów, których znowu r. 1849 przeniesiono ztąd w góry Świętokrzyżskie, a klasztor oddano proboszczowi liszkowskiemu.

W pięknym kościele zasługują na uwagę cztery malowidła *al fresco*, przedstawiające wszystkie stany byłej Rzeczypospolitej, oddające się pod opiekę trzech osób Trójcy przelnajświętszej i Bogarodzicy. Okrom tej świątyni po-dominikańskiej, a dziś parafialnej, był w Liszkowie do r. 1812 inny, stary, drewniany parafialny kościółek, który przed laty 30 rozebrano.

Podany tu w lok Liszkowa rozciąga się z góry zamkowej, a jest tak piękny w naturze, że i nad Renem nie byłby pomijany. Dla mnie wydał się on jeszcze piękniejszym, bo jest w nim cząstka woni rodzinnych kwiatów, szmer rodzinną rzeki, śpiew litewskiego skowronka, czego nie zastąpi ani włoskie niebo, ani strojna w winnice góra, ani alpejski wodospad.

Zygmunt Gloger.

LISTY ZE STOLICY WĘGIER,

profesora A. Pawińskiego.

III.

Jak tu nie wspomnieć o wycieczkach archeologicznych, które po trzykroć przedsiębrali członkowie kongresu w bliższe i dalsze okolice Pesztu, kiedy ekskursje te były, wobec wystawy i konferencyj naukowych, syntezą niejako, żywą archeologią, przeniesioną ze sfery oderwanych teoryj na grunt praktyki najwycyzejniejszej, były dopełnieniem prawdziwym i objaśnieniem tego, coś

widział na wystawie, a słyszał z ust mówców na katedrze. Dla archeologa wogóle każda wycieczka ma zawsze urok niewysłowiony, bo szukać, kopać, odkrywać, to żywioł jego. Jakaś tajemniczość ponętna osłania te grobowiska prastare; zawsze się do nich zbliżasz pełen nadziei, choć również często odchodzisz pełen rozczarowania, by znów do nich wrócić. Zdaje ci się, że napewno znajdziesz owe dla nauki pożądane skarby, że wydobędziesz na jaw światło ukryte, co rozświeci całą epokę, dzieje życia tysiąca ludzi. Wyobraźnia archeologa, marząc o tém, gra żywo, snuje obrazy dowolne, śmiałe... Jak tu nie brać udziału w wycieczce, która powabem swym nawet nie-archeologa pociągnąć zdoła. Zobaczysz kraj nieznaną, poznasz ludzi obcych lepiej, niż kiedykolwiek, ujrzysz może prawdziwszych jeszcze Węgrów od tych, którzy się tu po ulicach Pesztu snują. Wśród podróży zresztą, wśród spólnéj pracy pod gołym niebem, przy spólnych trudach łatwiej nieznajomi wzajemnie się do siebie zbliżają, niż w mieście wśród rozstrzelonych zajęć i wielolicznych stosunków towarzyskich. Wiadomo też o zamierzonych wycieczkach dzwięczeniem echem odezwała się w sercach tych, którzy nieraz już sami czynili poszukiwania, jak i tych, dla których praca w polu, praca podziemna, nowością była. Zapowiedziane więc wycieczki liczyć mogły na wielkie powodzenie, przynajmniej pód względem liczby tych, którzy w nich udział wziąć pragnęli. Udały się też wogóle bardzo dobrze, nietylko może pod względem archeologicznym, ile jako zabawa towarzyska.

Pierwszą wycieczkę urządzono niebawem po otwarciu kongresu, drugiego zaraz dnia po rozpoczętych konferencyach naukowych. Dzień 6-ty września był dniem przeznaczonym na wyjazd do Gödöllő. Któż nie zna, ktoż nie słyszał przynajmniej o Gödöllő, tej letniej rezydencyi cesarskiej, leżącej o kilka mil na północo-wschód od Pesztu, nad linią drogi żelaznej. Pogodny ranek zapowiadał najpiękniejszy dzień złotej jesieni. Jeszcze we śnie pogrążeni spoczywali mieszkańcy stolicy węgierskiej, może upojeni melodyami wieczornej muzyki cygańskiej, a już o wschodzie słońca goście-cudzoziemcy z różnych stron podążali przez puste ulice na miejsce oznaczone, zkad całe towarzysztwo miało się w podróż udać. Zbornym punktem był środek miasta. Tu szeregi uroczyście we flagi ubranych wagonów kolei żelaznej konnej oczekiwały znaku, by przewieźć przez długie przedmieścia rojne tłumy archeologów do dworca wschodniej drogi żelaznej. Długiemi pasmem snuły się, na warkach pomykające kołach, powozy kolejowe przez ulice niemal jeszcze puste nadunajskiej stolicy. Im bliżej ku przedmieściom, tém dostrzegaliśmy więcej wokoło życia. Tam przekupień śpieszył na spotkanie właścianina, co żywność wiozł do miasta; tu w większym gronie robotnicy do ranej podążali pracy. Obraz nabierał ruchu, im dalej ogarniał przedmieścia, ale też coraz jawniej uwydatniała się odwrotna jego strona. Zniknął tu przepych, który nad brzegiem Dunaju wprawiał nas w podziwienie; niskie domki, niby chaty wiejskie, zastąpiły gmachy okazałe; wszędzie przezięrała bieda, z brakiem schludności połączona. Dziwny kontrast między tém, co się cudzoziemcowi rzuca w oczy nad Dunajem, około wspaniałych hotelów, a temi zakątkami, do których nikt z obcych nie zagląda.

Siedliśmy do wagonów, umyślnie zamówionych dla całego towarzystwa. W wyborze miejsca swoboda najzupełniejsza panowała. Każdy siadał, gdzie mu lepiej i przyjemniej być się zdawało. Najważniejszym łącznikiem w grupowaniu się kółek była wspólność mowy. Tam w jednym wagonie widziałeś Francuzów, w innym Anglików; owdzie Włosi ze sobą, tu znów Szwedzi z Duńczykami, jak za czasów unii kalmarskiej połączeni.

Nietylko jedaak archeolodzy biorą udział w wycieczce. Jadą także i panie, które z dalekich stron Europy na kongres przybyły, towarzysząc uczynom mężom i ojcom. Grono tych pań wydało nam się dość licznem. Łączą się także i panie miejscowe, Węgielki, które bądź jako

właścicielki zbiorów archeologicznych miały udział w wystawie i z zamiłowaniem ku nauce śpieszyły razem z archeologami na miejsce wykopalisk, bądź też ze względu na towarzyskich, dla zabawy własnej lub cudzoziemek, we wspólną puszczały się drogę. Na czele całej wyprawy, jako jej przywódzcy, stali p.p. Pulski, prezes kongresu, znany patryota węgierski, oraz ksiądz Romer, prof. archeologii, kustosz muzeum, oraz sekretarz kongresu.

Godzina szósta uderzyła na zegarze, świst parowca zapowiadał początek podróży. Ruszyliśmy w drogę. Odżyły nam we wspomnieniu liczne wypadki z dziejów Węgier, które się na polach okolicznych odgrywały w ciągu kilku wieków. Więc ciekawie rozpatrywaliśmy krajobraz, który się przed nami rozsuwał. Złała zewsząd niezbyt wielkie pagórki zamykały daleki widok, który się w prawo i w lewo rozwijał w jednostajną, rozległą równinę. Nie ożywiały krajobrazu ani siola gęsto osiadłe, ani zresztą nawet samotnie rozrzucone chaty. Nad równiną panował wszędzie jakiś duch pustkowiec. Może jesień zabrała już z pół to, co podczas lata dodawało im życia; ale nieuprawne lany świadczyły, że raczej za pastwisko, niż za urodzajne niwy służyć mogą te okiem nieprzejrzaną płaszczynę. Niegdyś wzało tu gorące życie, bo cała ta równina nosi nazwę *poła rakoszewego*, *poła elekcyjnego*, na którym odbywały się sejmy elekcyjne w owych czasach, kiedy Węgrzy królów sobie obierali i nieraz na tron swój Jagiellonów powoływali. Pole elekcyjne pod Wolą dużo ma podobieństwa do równiny rokokowej. Ta sama płaszczyna niezmierna i niegdyś ta sama forma obierania królów pod gołym niebem, na przestronym miejscu, gdzie szlachta z całego państwa, z taborem i dworem, wygodnie obozować mogła.

W późniejszych czasach, zwłaszcza w XVI stuleciu, te same równiny były świadkami innych znów wypadków, były widownią owych krwawych zapasów, jakie Węgrzy stacjali z Turkami, którzy nieraz wtargnąwszy aż do środka kraju, kusili się o zdobycie obronnej Budy. Wspomnienia historyczne, z miejscowością powiązane, snuły się szeregiem jedno za drugim; lecz wątek ich urwał się z chwilą, gdyśmy po godzinnej zgórą podróży do stacji Gödöllö dojeżdżali. Zaledwie zdolałszy rzucić okiem na wieńiec ogrodów i klombów, wśród których wiejski pałacyk cesarski się ukrywa, już trzeba było śpiesznie podążać ku powozom i wózkom wiejskim, czekającym na przybyłych gości, żeby zająć w nich miejsce i pojechać o milę jeszcze drogi, pod wieś Valko, gdzie w lasach podobno ślały grobow dawnych odszukano. Ruszyliśmy z Gödöllö, prawie się tam nie zatrzymawszy. Towarzystwo całe, w wagonach kolei żelaznej w większe połączone grupy, teraz na szczupłe kółka podzielić się musiało. Po dwie, po trzy osoby siadły na niewielkie wózki wiejskie, które do miejsca dowieźć nas miały. Długim więc sznurem ciągnęły się po drodze ku Valko szeregi dwukonnych wózków, których conajmniej sto zgórą było. Chcieliśmy zabrać znajomość z woźnicą naszym, powziąć odeń wiadomości o okolicy, o wsiach przyległych, dostać, jak to mówią, języka; ale daremne usiłowania: porozumienie się było niemożliwe. Mieliśmy bowiem przed sobą na przodzie wózka wieśniaka, prawdziwego Madjara, który oczywiście nie był niemową, bo z kołmi swymi ożywioną prowadził rozmowę, ale zapytań naszych w dwóch językach, niemieckim i słowackim, zupełnie nie rozumiał.

Niewielka to istotnie przyjemność, a nauka jeszcze mniejsza, podróżować po kraju, którego się języka nie zna. W miastach łatwo jeszcze dasz sobie radę; lecz na wsi jesteś olosobniony, jak wśród puszczy. Madjar nasz nie nam odpowiedzieć nie mógł, a jeśli sam co wyrzekł, my znów ruzaliśmy ramionami. Zamknąć się więc trzeba było w niemiej kontemplacji. Rozglądaliśmy się w tém, co nam okolica z tej lub owej strony drogi nasunęła. Przedewszystkiem zaś uwagę naszą sam woźnica nasz zwrócił na siebie. Krępy i barczysty wieśniak śniadą całą twarzą

przypominał nam żywo pochodzenie azyatyckie Węgrów. W oddziałach Attyli zepewne wszyscy taką ciemną barwą skóry się odznaczeni. Czarne włosy, z pół maleńkiego kapelusika spływające, połykiwały na głowie, lśnią się grubą warstwą tłuszczu. Na tylniej części głowy, między włosami, mieścił się długi, okrągły grzebień, spajający je niejako. Biały kolor grzebienia odbijał jaskrawo od tła czarnego. Wieśniak Madjar świątecznie był ubrany. Białą płócienną koszulę widać było na ramionach i rękach, piersi i plecy osłaniała granatowa sukienka kamizela, ozdobiona szeregiem białych dużych, posrebrzanych gazików. Szerokie na półtora co najmniej łokcia szarawary, nazywane z polską po węgiersku *gatye*, stanowiły część spodniego ubrania. Łagodny wyraz oczu, jakaś melancholijna pośępnosć z nich przebijająca, naprowadzały nas na domysł, ażali w naszym woźnicy nie było czegoś słowackiego, tej przymieszki, która tyle już uszlachetniła prawdziwy typ madjarski. Nie otrzymaliśmy jednak w tym względzie żadnej pewności. Godzinę więc całą naszej drogi po piaszczystym gruncie spędziliśmy na rozglądaniu się w miejscowości. Okolice mało odmienny od poprzednio opisanego pola rakoszewego przedstawiała charakter. Tylko równina zamieniła się w rozległą powierzchnię, ta i owdzie łagodnie zfalowaną, a zresztą ten sam duch pustkowiec, duch jak gdyby stepu, powiewał po tych nagich, ubogich, piaszczystych przestrzeniach.

W ciągu całogodzinnej podróży nie spotkaliśmy po drodze ani jednej wsi, ani jednej wiejskiej chaty, tylko samotny folwark wcale niepokazny, należący do klucza cesarskiego. Cała ta bowiem okolica składa się z posiadłości koronnych, które widocznie jeszcze nie doczekały się właściwej uprawy. Dopiero gdyśmy się zbliżali ku kresowi naszej podróży i stanęliśmy na wzgórzach, ukazały nam się zdaleka więc jakoś zaludnione siola zjadł własnie sprowadzone były nasze wozy i wózki. Pod wsią Valko w lesną dostaliśmy się okolicę. Obszerne te lasy rządowe służą za miejsce do polowań jesiennych dla dworu wiedeńskiego. Niedawnemi czasy, gdy dla dogodności myśliwych administracja dóbr szeroki gościniec przez lasy przeprowadzić kazała, odkopano w niektórych miejscach starożytnie grobowiska. Dwa z nich czy trzy zbadano w tym roku na wiosnę, pozostałe zaś pozostawiono nienaruszone, dla gości archeologów.

Przybyliśmy na miejsce tych grobów dość wczesnie, by je zbadać, a przynajmniej poznać, nim nadejście cały tłum spacerowych archeologów, bo wtedy powstaje zwykle chaos. Ujrzelismy zatem pod powierzchnią ziemi dość obszerne grobowisko, złożone z urn i kości spalonych. Cały układ grobu wskazywał, że to było nie rzymskie cmentarzysko, choć na pozór rzymskie znajdowały się w niem rzeczy. W poszukiwaniach wielką przeszkodę w tym razie stanowił sam grunt, przedstawiający rodzaj zbitój, zeschniętój, glinianej masy. Oskardami trzeba było odrywać i wydobywać kawały ziemi: wszystko się więc kruszyło. Przy podobnym składzie ziemi najlepiej zawsze prowadzić poszukiwania na wiosnę, lub po obfitych deszczach, kiedy zwilgotniała glina łatwiej kopać pozwala. W zeschniętych kawałach ziemi znajdowano czerepy urn, których glina zdawała się być dobrze wypalona, a nawet polowana; znajdowano także w wielkiej ilości tak zwane perły gliniane, czyli rolaz *sieczki*, używanej do nawlekania na sznurki. Te różnokolorowe perły świadczyć mogły o pewnym wpływie rzymskim na tamtejszą sztukę, ale rzymskimi być się nie zdawały, a grób również z układu urn i ich kształtu domniemanego, nie sprawiał wrażenia rzymskiego. Wszelkie też domysły co do rzymskiego pochodzenia grobów za Pesztem, po lewym brzegu Dunaju, zbija okoliczność, stwierdzona licznymi w nauce faktami, że kolonie rzymskie sięgały do prawego tylko brzegu Dunaju w Panonii i nigdy na drugi brzeg, gdzie już była Jazygia, nie przechodziły.

Ostatecznie jednak cała zdobycz, którą przedstawiały groby w Valko, nie obudzała szczegó-

niejszego zajęcia. Kilka innych grobowisk, odsłoniętych na wzgórzach, podobnym-że odznaczało się ubóstwem. Prędko więc dało znak do odwrotu i niebawem znów całe towarzystwo tą samą drogą wracało do Gödöllö, zjadł po posiłku wspólnym w jakimś wiejskim ogródku, przy dźwiękach cygańskiej muzyki, w dalszą puszczo-no się drogę, kolejną żelazną do miasteczka Hatvan.

Jeszcze słońce nie dosięgało połowy swego biegu, a już po godzinnej zgórą podróży stanęliśmy po za stacją i miasteczkiem Hatvan w polu, by zjadł najbliższą drogą puścić się do miejsca innych wykopalisk.

Czekała nas tu przy wysiadaniu z wagonów miła niespodzianka. Spostrzegamy ogromne tłumy ludu wiejskiego, ubranego świątecznie, który zgromadziwszy się z okolicznych siól, przybył z muzyką cygańską i z chorągiewkami narodowymi na nasze spotkanie. Tam na drodze, nieco dalej od budki drożniczej, przy której pociąg się zatrzymał, snuje się długi szereg pojazdów wykwintnych, bryczek węgierskich i mniejszych wózków, którymi zjechała się licznie okoliczna szlachta, by w charakterze gospodarzy przyjmować przybyłych gości cudzoziemców. Pochód nasz wstrzymany został u luku tryumfального, który dość misternie zaimprovizowano na tę przelotną uroczystość, przy samem wejściu na główny dziedziniec. Tłum zebrany trzykrotnym „*elien*“ wita przybyłych. W imieniu całego hrabstwa (komitatu) zabięra głos deputat, wybrany z grona szlachty, pokazny męczyzna, z ogorzałą twarzą, w czamarze i przy karabeli, i to w sposób tak donośny, jak bohater z epepej Homera. Mówi, ku zdziwieniu wszystkich, po francuzku i znów po kilku słowach madjarskim przemawia językiem. Po nim z kolei występuje z mową, także madjarską, ksiądz dziekan z Hatvan. My oczywiście nie nie rozumiemy; widziemy tylko zapal mówcy, słyszymy głos patetycznie podnoszony i ciągle okrzyki „*elien*“, przerywające słowa dostojnego pasterza. Skończył mówca i znów „*elien*“ rozległo się po szerokich łąkach i niwach. Prezes kongresu, Pulski, przełożył w treści na język francuzki mowę ks. dziekana, nadmienil, że mówca w swym głosie dotknął rzeczy historycznych, że napomknął o polach hatvańskich, które w ciągu długich zapasów z Turkami zawsze za widownię krwawych bojów służyły, i że życzył nam wreszcie szczęścia w poszukiwaniach archeologicznych na tych przestrzeniach, które przedstawiają jeden wielki cmentarz z czasów nietylko historycznych, ale i przeddziejowych. Tłumacz również głosił „*elien*“ wynagrodzonym został.

Czas jednak było ruszyć z miejsca do pracy, bo już słońce stanęło najwyżej na swym łuku i skwarem lipcowego dnia w południowej porze dręczyło gości, nieprzywykłych do długich mów pod gołym niebem. Głównym gościem puściliśmy się ku cmentarzyskom, które tam opodal wsi znajdować się miały. Pochód cały przedstawiał widok nadzwyczaj urozmaicony. Na czele niosła młodzież wiejska trójkolorowe chorągwie narodowe, na których widziały wyszyte korony św. Szczepana, patrona Węgier. Tuż obok nich, na dzielnych rumakach, prości honwedy wiejscy, w huzarskich ubraniach, owa milicya narodowa, z pestawą prawdziwie żołnierską. Za nimi ciągnie muzyka Cyganów, czarnych, ogorzałych, ubranych wszakże po europejsku. Z zapalem grają jakieś melode narodowo-węgierskie. Całe towarzystwo dalsze pieszo, konno, w powozach snuje się długim szeregiem, którego okiem objąć niepodobna. „*Europa cała*“ — ję goście raczej, z różnych krajów przybyli, dziwnie wyglądają na tém tle węgierskiem. Wszelko się rozbiło, tłum się pomieszał. Tu postępuje grono Anglików, którym ciekawie się przysłuchuje wiejska młodzież węgierska; tam widzisz Francuzów i Francuzki, jak idą otoczeni wieńcem szlachty miejscowej, a w prawo i w lewo nad drogą hucuje długim sznurem na wiejskich rumakach, tworząc szpalier honorowy, młodzież szlachecka w czamarach, albo kwiat chłopców włościańskich. Cały ten pochód zamyka nieprzejrzaną szereg wspa-

niałych pojazdów, do których powisały europejskie panie kongresowe, pomiędzy panie „obywatelki,” przybyłe w wielkiej liczbie, by „czynić honory” przybyłym gościom i być pięknego obrazu nadobną ozdobą.

Miejsćem, do którego zdążał cały pochód pieszy i konny, było wzgórze piaszczyste, nieopodal drogi; na wzgórzu znaleziono liczne grobowiska. Przestrzeń gdzie się one mieściły była umyślnie oparkaniona, aby nie dopuszczać niepotrzebnych współpracowników przy rozkopywaniu, każdy zaś ślad grobu oznaczono chorągiewką trójkolorową. Było dwanaście grobów, do których rozkopania, według wskazanego programatu przez prezesa Pułskiego, pojedynczo przystąpiły osoby. Praca była tu łatwiejsza, aniżeli w Valko; grunt piaszczysty ułatwiał wydobywanie na wierzech ziemi i odsłanianie grobu. Grób jednak, który nam przypadł w udziale, nie mieścił w sobie nic ciekawego. Po dwugodzinnej pracy, przy braku tych narzędzi, jakie zwykle archeolog nosi ze sobą, udało nam się całkowicie na jaw go wydobyć. Były to urny lub popielnice. Sposób grzebania podobny do spotykanego u nas. Na głębokości łokcia pod powierzchnią ziemi, na kamiennym podkładzie z drobnych kamieni, mieściły się popielnice z kośćmi spalonymi. Dwie z nich pod ciężarem ziemi już były zgniecione, trzecią, mniejszą, udało nam się wydobyć w całości. Popielnice kształtem i ozdobami nie różniły się od tych, które się u nas spotykają. W kościach spalonych, które starannie przez sito przesieliliśmy, nie się nie znalazło.

Szczęśliwsi byli poszukiwani innych w sąsiednich grobach, z których wydobyto kilka urn pięknie wyrobionych i kilka ozdób brązowych. Około godziny 3-iej zaprzestano poszukiwań dalszych, które przy takiej dorywczystości pracy nie mogły do pożądanego doprowadzić celu. Dla tych, co istotnie naukową wiedzę ciekawością przybyli tu z miast, wycieczka do Hatvan mogła być bardzo nauczającą, dano im bowiem sposobność poznania cmentarzyska z epoki brązu. Cmentarzysko to należało widocznie do miejscowej ludności, w czasach narodzenia Chrystusa. Jaka była ta ludność—oto zagadka. Wszystkie jednak cechy przemawiały za tym, że mogła być słowiańska, albo przynajmniej taka, co również miała zwyczaj palenia umarłych, składania kości w popielnicach i robienia podobnych popielnic, jak Słowianie karpaccy, albo nad Wisłą i Wartą.

Podczas gdy zapaleni archeologowie w pocie czoła, pod koniec prawie samotnie, oddawali się swęj znojnej pracy, po za cmentarzyskiem całe towarzystwo niearcheologiczne na wesołej zabawie czas spędzało. Mimo skwar południowy, młodzież wiejska, korzystając z muzyki cygańskiej, zabrała się do tańców narodowych na zielonej murawie, czemu się „Europa” chętnie przypatrywała. Tam dalej znowu młodzież końmi bawiła widzów harcami i turniejami konnymi, nawet wyścigami. Trzy wystrzały z moździerzy dały znak, że praca i zabawa skończona, że czas porzucić cmentarzysko i posilić się po dłużej istotnie przerwie od śniadania w Gödöllő.

Szlachta komitatu hatwańskiego zaprosiła całe towarzystwo, przybyłe z Pesztu, na obiad, przygotowany w ogrodzie stacyi Hatvan. Setki pojazdów i bryczek, zaprzężonych rączem rumakami, w oka mgnieniu niemal przemieściły na stacyą o pół mili odległą. Zgłodniałych archeologów oczekiwali tu już stoły do uczyt przygotowane. Ogród i całą stacyą przybrano w barwy narodowe. Niezliczone chorągwie powiewały pomiędzy drzewami i domostwami. Stoły ugięły się pod stosami pięknie ustawionych owoców i butelek z butelek soku winnego, który tutejsza szlachta (wino czerwone), „krwią turecką” nazywa. Uczta trwała długo, ozdobiona między innymi potrawą narodową, tak zwaną „gulaszem,” to jest siekanym mięsem wołowym, na sosie z papryki, czyli pieprzu tureckiego. Musi mieć ta potrawa jakieś ścisłe powinowactwo z „krwią turecką,” gdyż po tym pieprznym gulaszu czerwonym

Węgrzy bez czerwonego wina obyć się nie mogą. Setki osób miejscowych, oraz przybyłych z Pesztu goście kongresowych, brały udział w tym obiedzie. Poważne usposobienie przechodziło powoli w ożywiony i wesoły nastrój, pod wpływem „krwi tureckiej.” Zaczęły się mowy to francuzkie, to węgierskie, przeróżne zdrowia i t. d., jak zwykle pełne retoryki, uczucia i.. przebrzmiały z tym wiatrem, który unosił je na pola hatwańskie. Za żywym niskim płotem zebrała się powoli ciekawa gawiedź wiejska, tłumnie jak na odpust, by oglądać „Europę” i co chwila na niezrozumiałe sobie mowy francuzkie odpowiadała głośnie „elien!” Wtórowała tym okrzykom muzyka cygańska, zadowolając kiedy niekiedy melode narodowe.

Jeszcze obiad się nie skończył, a oho! młodzież wiejska wzięła się już do czardasza. Prezes kongresu, pan Pułski, z jakąś dziewczyną wiejską stanął w jednej parze, żeby tańce rozpocząć. Spozstrzegł to jakiś śmielszej natury Madjar, prosty wieśniak, może parobczak, i podskoczył do hrabiny C., Węgierki, znanej dziedziczki licznych włości, prosząc ją do czardasza. Niebawem całe towarzystwo tańczące zlało się w tę buńczucą mieszanicę. Pan z wieśniaczką, wieśniak z baronową lub hrabiną... i tak zgrupowały się pary do spokojnego zrazu, później coraz więcej ożywionego czardasza. Swoboda, z jaką lud prosty bawił się w stosunkach z panami, świadczyła conajmniej o serdeczności wzajemnych węzłów, o tej solidarności, jakiej dali dowody magnaci węgierscy i cała szlachta w ciągu walk politycznych przed dziesięć laty. Nie widać tu było, aby jakaś przepaść dzieliła dwa stany—dwór i chatę wiejską! Hrabina B. kazala na swój koszt dla wiejskich tancerzy wytoczyć kilka beczek wina. Jakiś prosty wieśniak wystąpił z mową dziękczynną za ten akt gościnności. Mówił niezrozumiałym wprawdzie dla nas językiem, z płynności jednak słów, ożywienia twarzy i ruchu rąk wnosząc przychodziło, że prostaczkowi nietrudno było mówić śmiało do jasnie wielmożnej pani.

Czardasz niemal nie ustawał. Coraz nowe tworzyły się grupy i kombinacje. Powoli w sali stacyjnej rozpoczęły się oho! tańce europejskie, które panie wiejskie z komitatu Hatvan swym udziałem gorliwie zaszczycały. Pod wieczór dano znak do odjazdu. Zastoczono wagony drogi żelaznej, które odwiedzić miały do Pesztu spracowanych archeologów. I znowu potworzyły się grupy, węzłem wspólnej mowy powiązane. Widziałem z wagonu przed sobą różnobarwny na platformie tłum szlachty wiejskiej, włościan, włościanek, honwedów; trójkolorowe chorągwie powiewały nad tą kołyszącą się ustawicznie falą ludu, a jednostajne przeciągłe „elien!” brzmiało nam długo jeszcze w uszach, jako echo tego pożegnania, ze słowami którego rozstawiali się goście europejscy z mieszkańcami powiatu hatwańskiego.

BOLESŁAW PODCZASYŃSKI.

(Dokończenie).

Niemalą także korzyścią dla nauki były jego podróże zagraniczne, które odbywał własnym lub rządowym kosztem, przywoząc z nich zawsze obfite plony. Tak w r. 1856 wyjechał dla zwiędzenia wielkiej paryskiej wystawy przemysłowej, mając przytęm polecenie władzy edukacyjnej obeznania się z ulepszeniami w budowie, ogrzewaniu i t. p. urządzeniach cieplarń botanicznych. Uskutecznił też to w Berlinie, Hanowerze, Brukseli, Gandawie, Antwerpii i t. p. W r. 1859 wyjeżdżał znowu na czas jakiś do Krakowa i Wiednia, dla bliższych studyów nad pomnikami sztuki. W r. 1862 po raz czwarty udał się w dłuższą, bo sześć miesięcy trającą podróż, dla bliższego obeznania się z postępem ruchu naukowego i artystycznego, zbadania szczegółowego zakładów naukowych różnego stopnia, oraz gabinetów i muzeów, pod względem ich urządzenia wewnętrznego. Niemniej ważnym przedmiotem u-

wagi Podczaszyńskiego w czasie tej podróży były urządzenie miejskiej służby i policji budowniczej, oraz prawodawstwo do tej części administracyi publicznej odnoszące się, jakoteż higieny ogólnej dotyczące. Badania te czynił niezmiernie gorliwie i zbierał odpowiednie celowi swojemu materiały, na życzenie utworzonej właśnie podówczas Rady miejskiej w Warszawie. Ztąd, w tym ostatnim przedmiocie, w pozostawionych przezeń zbiorach znajdują się źródła wielkiej wagi, które pożytku swego dotąd nie utraciły.

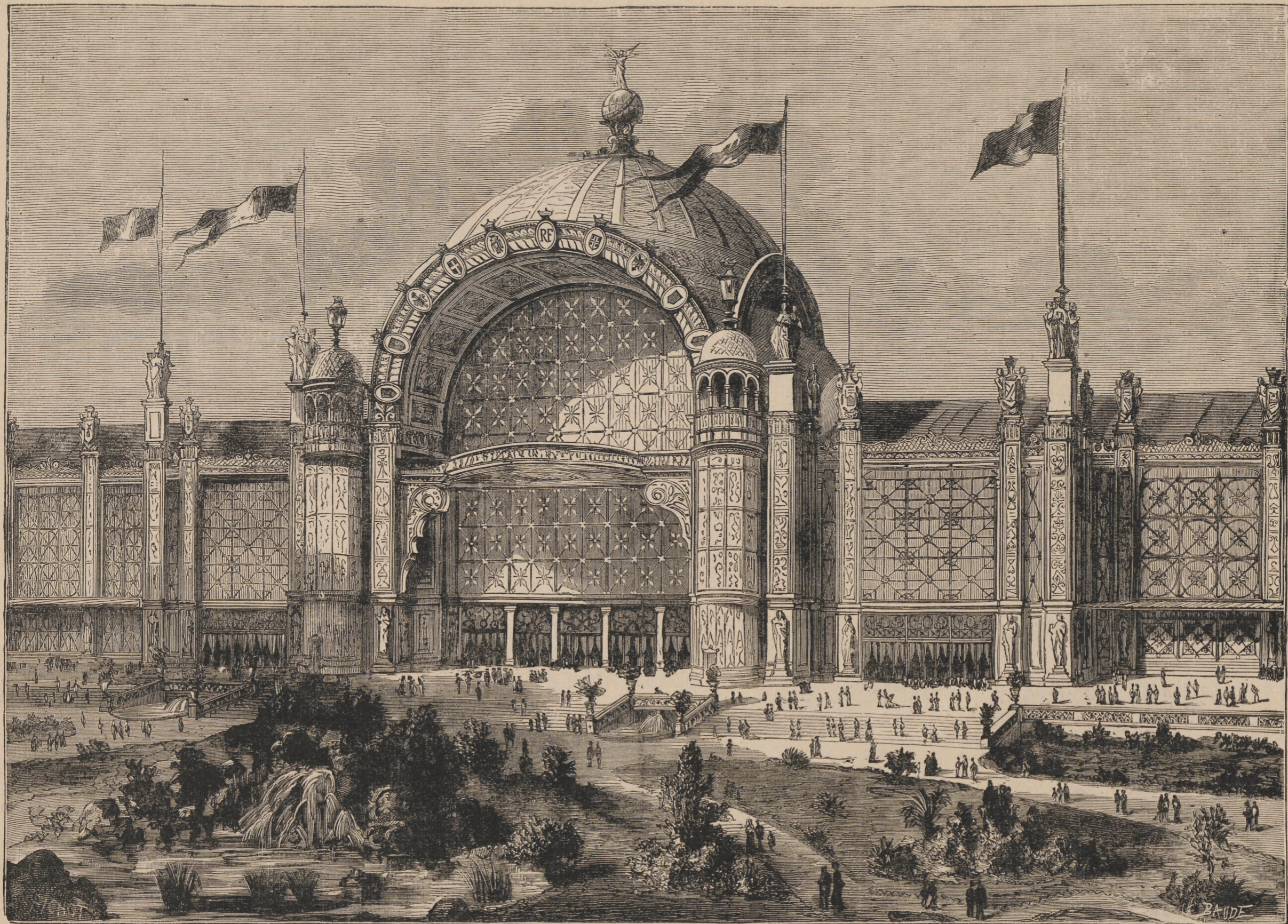
Równocześnie 1863/4 r. istniejące już od r. 1845 w związku przy szkole sztuk pięknych biblioteka i gabinet techniczny, utworzone i utrzymywane staraniem Podczaszyńskiego i pod jego zawiadywaniem będące, powiększone zostały znaczną, bo około 2,000 okazów liczącą, kupioną za przeszło 450 rs. ilością przedmiotów, jak: materiałów i wyrobów technicznych, oraz wzorów i dzieł budownictwa dotyczących, które zmarły zebrał w ciągu licznych swoich wycieczek po kraju i za granicą, oraz w długoletniej praktyce budowlanej. Specyalny ten gabinet, ułożony przez niego wedle ściśle naukowego systematu, bardzo korzystnie posilkował teoretyczne wykłady budownictwa.

Przy ogólnej reformie szkół w latach 1862—1865, kiedy zajmowano się także reorganizacyą szkoły sztuk pięknych, Podczaszyński, jako starszy jej profesor i członek Rady szkolnej, brał czynny udział w komitecie, wyznaczonym dla ułożenia nowej dla tej instytucyi ustawy, a wypracowany przezeń projekt ze szczegółowemi programami nauk, przyjęty został przez główną Radę wychowania 1865 r. Przed wprowadzeniem wszakże w życie tak zreorganizowanej instytucyi zamieniono ją na zakład wstępny, pod nazwą klasy rysunkowej. Wezwany do Rady zarządzającej tą klasą, Podczaszyński od czerwca do września 1865 r. pełnił obowiązki nieobecnego jej dyrektora. W r. 1867 główna Rada budownictwa królestwa udzieliła mu patent na budowniczego klasy III, czyli najwyższej, bez zwykłych form egzaminacyjnych, jako powszechnie znanemu z prac swoich architektowi, i w tymże roku, po śmierci dyrektora klasy rysunkowej, miał powtórnie sobie poruczone spełnianie tymczasowe jego obowiązków, od wiosny do 13 lipca 1867 r., w którym to czasie przeszedł ze stanu nauczycielskiego do służby administracyjnej w tejże władzy edukacyjnej, będąc zainominowanym na budowniczego Okręgu naukowego warszawskiego. Na tym też urządzie, rozciągającym wpływ swój na całe królestwo, pozostawał aż do śmierci.

Główniejszymi dziełami jego na polu praktyki budowniczego były od 1862 r. przerobienie i powiększenie auli szkoły głównej i amfiteatru oraz prosektoryum anatomicznego tejże szkoły (1865—1866). W r. 1866 rozpoczął gruntowną restauracyą z rozszerzeniem lokalu połączoną, gmachu gabinetu zoologicznego, którą to robotę wykończył 1868 r. Należał wspólnie z kilkoma warszawskimi inżynierami do wypracowania szczegółowych projektów na urządzenie w Warszawie nowego systemu wodociągów, z kanalizacyą połączonych (na 3 miliony rubli obliczonych), a to z polecenia kompanii przedsiębiorców miejscowych. Uskutecznił też gruntowną przebudowę domu przy ulicy Marszałkowskiej, ze wszelkim komfortem i wystawnością, dla bankiera Blocha urządzonego (1865—1866). Wystawił kościół murywany w stylu polsko-gotyckim w Stariej Wsi (1866—1871), dom z oficynami przy ulicy Ceglanej, w Warszawie dla p. Albina Genelli (1866—1867) i w okolicach miasta Miechowa, w majątności p. Konstantego Popiela, zwanój Czaple, dwór wiejski.

Jako budowniczy Okręgu przebudował klasztor po-misyonarski na gimnazjum 3-e (1867—1875). Przerobił oficynny pałac Kaziński na mieszkanie kuratora Okręgu (1868—1869). Zbudował w Maryampolu (gub. suwalska) nowe gimnazjum (1868—1870).

W prywatnej praktyce w latach 1867—1876 miał sobie powierzony zwierzchni dozór nad bu-



Wniście główne do pałacu wystawy powszechniej, odbyć się mającej w Paryżu, w r. 1878, podług rysunku budowniczego Hardy.



Bogata ciotka. Kopia obrazu Worms a, z wystawy sztuk pięknych w Paryżu.

domową wspaniałego domu bankiera Leopolda Kronenberga w Warszawie, dokonał ozdobnej restauracji kaplicy rodzinnej imienia Zamojskich przy kolegiacie w Zamościu (1869—1870). Przebudował obserwatorium astronomiczne w Warszawie (1869—1872). Zbudował w ogrodzie botanicznym wielką cieplarnię. Wyrestaurował pawilon pałacu Kaźmirzowskiego, w którym poprzednio mieściła się szkoła sztuk pięknych, przerobiwszy ją na biura uniwersytetu i kilka większych audytoriów (1870). Prowadził wspaniałą restaurację kaplicy Pana Jezusa przy kościele archikatedralnym Ś-go Jana w Warszawie (1871—1872). Wystawił nowe kościoły w Cernowie (1875), w Korytnicy (1876) i wiele innych.

Nawiasem tylko wspominamy o wykonanych przez niego projektach do okazałych i kosztownych budowli, które albo już rozpoczęto, albo odłożono do dalszego czasu. Jak pałac w Sieniawie w Galicji, dwór w Długoszowie w gubernii wołyńskiej, i przebudowa kościoła w Krasnem, ostatnia jego praca, którą się zajmował przed samym zgonem. Wreszcie zostawił mnóstwo prac rysunkowych, wizerunków osób, zabytków historycznych (jak do wspaniałego dzieła A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego p. t. *Wzory sztuki średniowiecznej*), rysunków monet, medali, jak n. p. medal wybity na cześć ministra Mostowskiego i inny, zrobiony na pamiątkę otwarcia akademii medycznej w Warszawie, rozmaitych przedmiotów archeologii i sztuki, do różnych dzieł, czasopism i t. p.

Mimo tak wytrwałej i niezmordowanej pracy, nie zdołał jednak zabezpieczyć swą przyszłość, tak iż żona i dzieci po jego zgonie pozostały bez wszelkiego zasobu, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Bezpośrednią tego przyczyną była wielka jego sumiennosc i bezinteresownosc we wszystkich czynnościach, głównie zaś nieograniczone zamilowanie do gromadzenia zbiorów, dla którego poświęcił nietylko ojezysty majątek, lecz i owoc pracy całego życia, chociaż najlepszym był mężem, a czułym i przywiązanym ojcem.

Obok zasług profesora, budowniczego i zbiorniczy starożytności, zostawił także zaszczytne wspomnienie w piśmiennictwie. W rzeczach starożytności i krytyki sztuk plastycznych, Podezwałyński był niezaprzezoną powagą naukową, do której się najchętniej po wyrok ostateczny w sprawach wątpliwych odwoływano. Jako archeolog odznaczał się tem, że nietylko sam nie unosił się łatwo i nie zapalał bujną wyobraźnią, lecz i współtowarzyszy swoich umiał zręcznie na grunt rzeczywistości naprowadzać. Jako estetyk miał wrodzone, gruntowną nauką wykształcone poczucie piękna. Nakoniec jako pisarz nie jaśniał wprawdzie barwnością stylu, ale wykład miał jasny, logiczny, wyrazy dobrze dobrane i polszczyznę bardzo poprawną. Pisał nietylko w języku ojezystym, lecz także we francuzkim i niemieckim. Ważniejsze jego prace naukowe i literackie, drukowane i w rękopiśmie zostające, są: *Nauka perspektywy*, kurs ułożony dla uczniów szkoły szt. pięk., autografowany 1849 r. (początkowych arkuszy 4). *Kurs dziejów budownictwa*, ułożony podobnie dla tychże uczniów 1856 r. Autografowanych było arkuszy 7 początkowych, staraniem uczniów, z powodu jednak zbyt małej podówczas liczby słuchaczy, nie prowadzono dalej autografii. *Pamiętnik sztuk pięknych*, pismo zeszytowe z rycinami w 4-ce, Warszawa r. 1850—1855, wyszedł tom I i tomu II zeszyt; przestało wychodzić, dla braku dostatecznych funduszy. *Katalog wystawy starożytności i przedmiotów sztuki*, urządzony w Warszawie 1856 r., w 16-ce, zredagowany krytycznie i napisany wyłącznie niemal przez Podezwałyńskiego. *Przeгляд starożytności krajowych*, z powodu tejże wystawy, Warszawa 1857. Część I-a w 16-ce, obejmująca starożytności przedchrześcijańskie, oraz broń i uzbrojenia. Jest to osobna odbitka z ciągu artykułów, umieszczonych w odcinku „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych”, podczas trwania wspomnianej wystawy w r. 1856/7. Część II, obejmująca *Ubranie i sprzęty domowe*, pozostała w rękopiśmie. Po-

mieszczał także liczne rozprawy i artykuły po różnych czasopismach i dziełach, dla braku atoli miejsca, wyszczególnić ich tu nie możemy.

Prace jego w rękopiśmie pozostałe są następujące: *O kilku najdawniejszych zabytkach budownictwa chrześcijańskiego. a mianowicie o krypcie pod katedrą na Wawelu*. Rozprawa historyczna, czytana przez Podezwałyńskiego na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego oddziału archeologii. Wskutek tej rozprawy wybranym został na członka korespondenta rzeczzonego Towarzystwa, a przy reorganizacji jego na akademię umiejętności 1872 r., przemianowany na członka tej instytucji. *Nauka budownictwa* w 5-ciu obszernych tomach, między którymi gotowe są do druku: tomu I część I-a, większa połowa tomu II-go, około 1/2 części tomu IV i większa część tomu V. *Żywoty i prace budowniczych i rzeźbiarzy w Polsce*, objaśnione rysunkami celniejszych budowli i rzeźbiarskich utworów, oraz wizerunkami artystów przyozdobione. Liczba objętych i zebranych tam imion wynosi kilkakset, lecz w niezredagowanych materiałach. *Sfragistyka polska*, rozpoczęta w obszernych rozmiarach, a zredagowana w małej tylko części, odnoszącej się do pieczęci królów i książąt Piastów polskich. *Spis wykopalsk w kraju*, podobnie szeroko obmyślany, rozpoczęty i zredagowany w znacznej części, o bok zgromadzenia bardzo obfitych do tego materiałów.

Wkońcu piszącemu to wspomnienie pozostaje jeszcze wyrzec słowa czci i wdzięczności za przeszło 30-letnią serdeczną przyjaźń, jaką nieboszczyk go zaszczycał, śpiesząc zawsze z bezinteresowną szlachetną pomocą, już to w wykonywaniu rysunków, już w udzielaniu swoich bogatych materiałów przy ogłaszanych przezemnie pracach literackich. Małuczkie zapewne ma znaczenie pojedyncze to uznanie, wobec wielu innych zaenych jego czynów, składa się jednak także na obraz osobistości, którą społeczeństwo nasze tak niespodzianie straciło. Wczesnym rankiem, nad zwykłą pracą z piórem i książką w ręku, zgasł Podezwałyński nagle, dnia 9 listopada r. b.

W poniedziałek 13 t. m. liczny szereg jego przyjaciół, współtowarzyszy, byłych uczniów, literatów, artystów, rzemieślników i t. d. odprowadzał zwłoki zmarłego na cmentarz powązkowski. Wszyscy go żałowali, przypominając nieposzlakowaną jego prawosc, sumiennosc, uprzejmosc dla każdego, niezwykłą uczynnosc, delikatnosc w obejściu i łagodnosc charakteru. Niektórzy ubolewali nad ścieśniającym się coraz bardziej szeregiem ludzi podobnego pokroju. Wielu wreszcie pytało, co też się stanie ze sławnymi jego zbiorami, które gdzieindziej byłoby chlubą każdego miasta. Miałyby one u nas zejść na marne?...

F. Maks. Sobieszczański.

BOGATA CIOTKA.

Obraz Worms'a.

Pan Worms, jeden z najbardziej cenionych malarzy rodzajowych francuzkich, wystawił niedawno w Paryżu większych rozmiarów obraz swój, „La tante à succession”, którego podpis, z powodu braku równie dosadnego wyrażenia w języku naszym, tłumaczymy poprostu przez „Bogata ciotka.”

Odgrywa się tu przed nami jedna z pospolitych, niestety, scen komedyi życia ludzkiego. Bogatą staruszkę otaczają krewni, czyhający na spadek po niej, lub zapisy. Świetnie wystrojona siostrzenica ścisła czule podaną sobie rękę „najdroższej cioteczki”, podczas gdy z drugiej strony synowiec niesie jej filiżankę czekolady, oglądając się przytém z niedowierzaniem na księdza, niemego świadka tej sceny. Jednocześnie z miną słodko-urzejmą wchodzi do salonu trzeci, uzabotowany kuzynek, trzymając w ręku kapelusz i klaniając się już we drzwiach, chociaż ciotka wcale go jeszcze nie widzi. Gapiowaty lokajdytotycznym wzrokiem spo-

gląda na grupę środkową. Staruszka wreszcie nadszkwawania swych krewnych, na których celu i wartości zna się doskonale, przyjmuje bardzo obojętnie.

Ale głównym przedstawicielem satyrycznej treści obrazu jest poczciwy księżulko, siedzący z boku na fotelu i raczący się z otwartą tabakierką tęgim niuchem tabaki. Postawa jego tak jest obojętna, wyraz twarzy tak spokojny, jak gdyby myślał sobie w duchu: „Kłaniajcie się złotemu cielcowi, ściskajcie i całujcie!... Na nic to wam się nie przyda... Ja wiem najlepiej, że wszystko pójdzie na klasztory.”

Figury obrazu malowane są z wielką starannością, charaktery wystudyowane znakomicie, rysunek bez zarzutu a całość przedstawia się nietylko jako dzieło wyborowego artysty, lecz także jako pomysł myślicielea.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Oszczędności i dochody dorywcze z lekcji obracał w części większej na książki i materiały pracy naukowej, w mniejszej na utrzymanie jak-najskromniejsze. Jadł aby żyć. Biskup Żaluski żywił się, jak podanie niesie, chlebem i serem, a dochody swoje całe obracał na kupno książek; miał jednak dochody stałe, pewne, donośne i zasługa wielka zacnego infułata na tem polega, że nie trwonil takowych na wygodki, lakocie i wystawność. Nasz Kaźmirz prowadził się tak samo jak biskup Żaluski, nie mógł atoli tego samego dokonać, dochody bowiem jego nie były ani stałe, ani pewne; były one szczupłe, bardzo szczupłe, w odniesieniu zwłaszcza do zwiększających się z dniem każdym, z chwilą każdą potrzeb, jakich praca naukowa wymagała. Raz wypadło nabyć jakąś książkę, znów wyradzała się konieczność kupienia jakiegoś kwasu, jakiejś soli, jakiegoś narzędzia lub narzędzia. Zdarzało się też nieraz, że bohater nasz skazywał się na chleb suchy bez sera, niekiedy nawet na dyetę absolutną, pracując ustawicznie i spuszczać się na losy.

Co losy o we zrobić z niego miały, było to dla niego tajemnicą, w którą ani zaglądał.

Ukończenie uniwersytetu otwierało przed nim kariery rozmaite, z których każda wymagała zaniechania prac naukowych, jeżeli nie nazawsze, to na czas jakiś przynajmniej, jedyna zaś, która się mu uśmiechała, nauczalna, domagała się prób, dowodów, prac, któreby pozyskały uznanie świata uczonego. Potrzebował zostać najprzód znany, głośny, ażeby miał prawo dobijania się katedry.

Są wprawdzie sposoby i na to, bo na cóż sposobów niema?! Człowiek, według zdania pani Jędrzejowej, zmyslniejszym jest aniżeli pies. Są więc sposoby na to, ażeby uczynić zadość wymaganiom, tymczasem się zającą katedry w uniwersytecie, bez składania dowodów uzdolnienia naukowego. Do tego potrzeba być bardziej zmyslnym, aniżeli uczone, i powziawszy zamiar wejścia w ślady Śniadeckich, Lelewelów, starać się nie o produkowanie pożytecznych dzieł, lecz o wynalezienie i zapewnienie sobie dobrej protekcji. Protekcja bywa rozmaita i zdobywa się takową rozmaicie. Prawideł na to szczegółowych przepisać nie sposób; wiedzieć jednak należy, że rola protekcjącego sprawia olgrywającemu ją przyjemność ogromną. Chodzi tylko o to, ażeby trafić na osobistość jakąś, wywierającą wpływ za pomocą bądź majątku, bądź stanowiska zajmowanego, bądź też powagi nabytej, bądź nawet w wywierającej wrażenie niejakie. Ztąd protektorami starającymi się o katedrę być mogą ludzie kalibru różnego i płci obojętnej, magnaci, dostojnicy, uczeni literaci, dziennikarze, pod skrzydłami których potrzeba tylko skompilować cośkolwiek, ażeby zo-

stać obwołanym za potomka w prostej linii wielkich mężów. Zdobywszy punkt ten, reszta przychodzi dość łatwo. Pozostaje jedynie do ogniska polanek dokładać, grać w niem żelazo i kuć takowe, póki gorące. W ten sposób niejednego wypromował się na profesora, na członka akademii, na znakomitość jedném słowem, czezoną przez gawiedź i opłacaną ze skarbu publicznego.

Sposób ten stał przed bohaterem naszym otworem. U profesorów miał już zachowanie; do opinii publicznej trafićby mógł, bodaj za pośrednictwem pana Krzysztofa, który posiadał powagę w rzeczach nauki, dla ogółu niezrozumiałych; pozostawało więc mu tylko wziąć z półki własnej dzieło piérwsze lepsze i skompilować takowe, unikając ile możności plagiatów zbyt krzyżących. Rzecz ta wymaga pewnej zręczności pisarskiej, przystępnej dla człowieka posiadającego silną wolę dopięcia celu. Dziewięć dziesiątych, jeżeli nie więcej, uczonych posługuje się tym sposobem, nie bez pożytku dla ogółu, wśród którego wiedza się szerzy i zapomocą dzieł kompilowanych, a z pożytkiem widocznym dla samych siebie, bo daje im to stanowiska poważne i intratne.

Sposób ten atoli był dla Kaźmirza nieprzystępnym. Odpychała go od niego bagatela — sumienność — odsuwająca się zazwyczaj na stronę, lub też odkładająca się na później, gdy o karierę chodzi. Nie potrafił ani jęć na stronę usunąć, ani nawet na później odłożyć. Stała przed nim, jak mur, pomimo że on jęć wecale nie widział i w prostocie ducha zamysłał o złożeniu istotnych wartości swojej dowodów, o napisaniu dzieła w rzeczy samej oryginalnego, wysnutego z głębi przekonania własnego i posuwającego wiedzę naprzód.

Dzieła atoli podobne nie wytrząsają się z rękawa.

— Przyjdzie może — myślał sobie Kaźmirz.

I pracował.

Pracował wciąż, czytał, notował, wiadomości nabyte grupował i duchem je własnym ożywiał, doświadczenia czynił i wyszukiwał.

Z notat własnych, z grupowania przedmiotów mógłby był ułożyć książkę bardzo użyteczną, ale... ani pomyślał o tém. Skrupulatność w tym względzie posuwał do granic ostatecznych. Wydawało się mu, że, dopuściwszy się autorstwa podobnego, wystąpiłby w pawich piórach.

— Dopnę swego pracą — powiadał sobie. — Nauka jest bezgraniczną; ludzkie doprowadzili ją do punktu pewnego i posunięcie punktu tego naprzód, choć o cal jeden, choć o jedną linijkę, jest rzeczą ludzką. „Nie święci przecie garnki lepia.“

Pracował tedy, wzbudzając podziw w tych, co na pracę jego zblizka patrzyli.

A do tych należał najprzód pan Jędrzej, w którym on wzbudzał szacunek z téj racji, że usług od niego nie wymagał żadnych prawie.

— Cóż tam lokator? — zapytywała niekiedy małżonka, pani Jędrzejowa, przed piątą rano, lub po jedenastej wieczorem.

— Niczego... dobry zdaje się człowiek.

— Kontent?

— O! i jak jeszcze! Pływa niby pączek w masle, ale mu téż i dogadzam, jak bolące.

— Wodę mu nosisz, buty czyścisz, suknie trzepiesz, izbę uprzatasz?

— Wodę noszę... hm.

Była to jedyna, jaką pełnił, usługa. Dlatego to zapytanie małżonki, odnoszące się do szczegółów wygody lokatorskiej, zbywał chrząkaniem i zostawiał dla siebie podziwianie lokatora, który od rana do wieczora i często nocami nad książką ślecał.

— Tfu! — powiadał sobie. — Taki młody! No proszę! I co to on robi? Czy nie złoto smaży?

Zapytanie ostatnie odnosiło się do doświadczeń chemicznych.

— Co mi tam jednak do tego!

Wykrzyknik tyczył się skieletów, które, jak na przykład kości nietoperza, odgrywiają w przesądach ludowych rolę bardzo ważną.

Pan Jędrzej sam, po noce zwłaszcza, za żadne świata skarby nie odważyłby się wejść do izby przez Kaźmirza zamieszkaną; nie o tém wszakże

pani Jędrzejowej nie wspominał, raz dlatego, że wogóle rozgadanie się było mu wzbronionem, powtóre dlatego, że nie wiedział jakie raport tego rodzaju znalazłby przyjęcie u pani Jędrzejowej, zadowolonej wielce tém, iż czynsz dochodził rąk jęć jaknajakuratniej. Wołał więc milczeć w tym względzie i z częścią jedną podziwu swego wynurzać się przed Ruchlą, korzystając z téj okoliczności, że to ona lokatora tego nastęrczyła.

Ruchla zachodziła pod numer 68 na Bocianiej po cebulę i czosnek.

Gdy się pojawiła piérwszy raz po odwiedzinach Józefa, pan Jędrzej nie omieszkał z wyrzutami do niej wystąpić.

— O papło! papło! — zawołał. — A to mi język! I kto cię prosił, żebyś rozgadawała, że u mnie jest stancya do najęcia?

— Nie gniewajcie się, panie Jędrzej...

— Jak tu się nie gniewać... Bodajby ci język usechł.

— Ny, ja nie chciała.

— Ty nie chciała? Czego ty nie chciała? Chciała, nie chciała! Idź sobie het i nie pokazuj się mi na oczy nigdy.

— A jak ja pójdę, to któż wam, panie Jędrzej, przyniesie... o?...

To mówiąc, odwinęła połę od kaftanika i pokazała z pod pachy flaszczykę, napełnioną płynem koloru wody zdrojowej.

Jędrzej odchrząknął głośno. Nie był on pijakiem, jednakże... czuł do gorzałki pociąg pewien. Lubił lyknać sobie na frasunek, który, jaktwierdził, prześladował go ustawicznie, nie przesadzał atoli. Robaka zakrapiał, ale się nie spijał. Nie miał zresztą za co, i dlatego nie można go było niczem tak ująć, jak ofiarując mu gorzałki trochę. Flaszczyka, którą Ruchla przyniosła, nie zawierała w sobie kieliszków trzech. Pomimo to, na widok jęć, pan Jędrzej zmiękł w gniewie i łagodniej już odpowiedział:

— Bo i do czego to było paplać?...

— Ny, nie gniewajcie się ino.

Ruchla podała flaszczykę, którą pan Jędrzej od niechcenia do kieszeni wpuścił i odparł:

— Cobym się tam gniewać miał.

W dni kilka później rozmowa z innego wyszła punktu. Córka Nuchima dowiadywała się o lokatora: co za jeden, co porabia i t. p.

Po tygodniu znów się dowiadywała.

I tak stopniowo, pomaleńku, od słowa do słowa, Ruchla dopięła tego, że wiedziała o Kaźmirzu tyle, ile wiedział pan Jędrzej, co atoli nie przeszkadzało jęć dowiadywać się za każdym razem, gdy po cebulę przychodziła. A przychodziła często, latem i zimą. Przynosiła téż często flaszczykę z gorzałką.

— Cóż wun porabia?... — zapytała razu pewnego.

— Nad książką śleczy.

— A często wychodzi?

— Hm... — mruknął Jędrzej, jakby go to zapytanie uderzyło. — Jakies w tém jest licho... Nie wychodził od dni trzech.

— Cóż jęć?

— Otóż to jest. Mléczarka rano przynosi mu mléko, zresztą nie... Życ mlékiem samém, to sztuka.

— Czy nie chory? — podchwyciła Ruchla, z akcentem żywego niepokoju.

— Phi — odparł, ramionami ruszając. — Może i ten drugi z téj stancyi przeniesie się na mieszkanie na cmentarz. Tamten jednak mieszkał lat dwadzieścia z czémś...

— Ny, jeżeli chory, to trzeba... — zaczęła Ruchla.

— Co?...

— Trzeba... ny... trzeba... zobaczyć...

— Zobacz, jeżeliś ciekawa...

— Ja... nie... ja... nie wiem... — bąkała Żydóweczka.

Wtém Kaźmirz na progu się ukazał i obawę rozproszył. Wyglądał bladawo nieco, ale zdrowo. Chód miał pewny. Skłonił się przez uchylene kapelusza Jędrzejowi i Ruchli, uśmiechnął się do nich i poszedł.

— Hörste... — mówiła Żydówka sama do siebie,

idąc do domu z sześcioma cebulami w ręku — nie jeść przez trzy dni, tylko mléko... ny!...

Z tematu tego snuła myśli długo i do téj doszła konkluzji, że z przywykłych do wszelkiego rodzaju prywacyj Żydów żaden nie dokazałby tego.

— Żydek najbiédniejszy — myślała — ma placek, ma cebulkę, tu coś wyprosi, tam wykręci, publiczkiem się podratuje, bogacz mu okruców udzieli, a na mléku samém nie poprzestanie.

A kiedy przedstawiała sobie poprzestawanie na mléku —

— Ach! coby to za Żyd był z niego!... On goim!... — westchnęła. — On nad książkami śleczy... Gdyby był Żydem, ślecałby tak nad Talmudem i wyczytałby... ach! wyssałby tę mądrość najwyższą, której husyci szukają od tak dawna i wyszukać nie mogą...

Innym razem — działało się to w czasie pobytu Kaźmirza w Orchowicach — Ruchla zadała Jędrzejowi pytanie, dotyczące się urządzenia izby przez bohatera naszego zajmowanej.

— Ciekawaś... ha!... — była starego odpowiedź.

— Ny, jaby chciała zobaczyć.

— Hę?... I cóżby ci z tego przyszło?

— Cóżby przychodzić miało! nie. Wy przecie, panie Jędrzeju, macie od téj izby klucz.

— Mam, ale nigdy do niej nie wchodzę... Jeszcze co!...

— To pójdzicie ze mną razem... Jaby chciała nie, tylko się popatrzeć...

— Kiedy się tobie tak bardzo zachciało... na!... masz klucz... idź sama...

Żydóweczka klucz pochwyciła, weszła i zrazu, wzrokiem obojętnj półwzgardy wodziła po szeregach książek i plikach papierów. Aż nagle osłupiała. Na obliczu jęć odmalowało się przerażenie. Zobczyła węże, gady, pajaki, niedźwiadki; zobaczyła kościotruty jaszczurek, żab, nietoperzy, szczurów; zobaczyła pomalowane i cyframi poznaczone trupie czaszki, piszczele, wnętrzości ludzkie i zwierzęce, jakieś figury i znaki, które się jęć kabalistycznymi wydały. Osłupiała w przerażeniu. Czula się omdlenia blizką. Oblał ją pot śmiertelny. Zaledwie zdołała oddech z głębi pierśi wydobyć i wnet się cofnęła. Cofała się, patrząc zdaleka na okropności te oczami szeroko otwartymi, ulegając temu pociągowi strachu, jaki wywierają wszystkie wogóle przedmioty przerażające. Przy drzwiach dopiero opamiętała się. Wy-skoczyła, niby oparzona.

Odwiedziwy te dały jęć dużo do myślenia i uczyniły Kaźmirza przedmiotem ciekawości, która prześladowała ją we dnie i przychodziła do niej w noce, naksztal zmory, prowadząc ze sobą całe tłumy straszylek. Dzieweczyna rady sobie dać nie mogła. Czula w sobie dwie siły zupełnie różne, pozostające w stanie walki ustawicznj. Jedna pociągała, druga odpychała. Obie dla dziewczęcia były zagadką, zagadką taką, jakie czasu onego zadawał sfinks Ateńczykom... śmiertelną. Z powodu zagadki téj wpadała Ruchla niekiedy w stan obląkanii równy. Siedziała, na przykład, spokojnie; nagle zrywała się, ręce wyciągała, jakby coś od siebie odpychając, oczy w słup stawiała, krzyczała i niezrozumiałe wyrazy rzucała. Nuchim i Ryfka nie wiedzieli co to znaczy, przypuszczali że zły duch wstępuje w nią niekiedy i bardzo ich to martwiło. Powiadali sobie:

— Nu... nieszczęściel...

Jeden zaś z oczytanych w Talmudzie, do którego się po radę udawali, dał im do zrozumienia, że wszystko to przejdzie, gdy się stanie to, co się jeszcze nie stało.

Czekali cierpliwie na ziszczenie przepowiedni téj, tymczasem zaś, pomimo że się nie stało, dziewczeczyna do normalnego powróciła stanu i znów do Jędrzeja po cebulę chodziła, ale już ani się u niego o lokatora dowiadywała, ani się o izbę rozpytywała. Zmiana w tym względzie objawiła się w ten sposób, że nie chodziło jęć już o nic więcej, jak o to jedynie, ażeby się na Kaźmirza popatrzeć. Była to rzecz trudna, to téż chodziła coraz to częściej i częściej, niekiedy na dzień po dwa razy, i udawało się jęć czasami oglądać postać bohatera naszego.

Z dwóch sił przeto, co w niej walczyły, wzięła

górze pociągająca. Cóż to znaczy? Zdaje się, że Ruchla Kazmirza kochała.

Zdaje się?... Kochała go—możemy twierdzić to napewno. Jeżeli o miłości wedle objawów sądzić, to objawy, któreśmy powyżej wykazali, tego są rodzaju, iż istnienie jej najmniejszej nie podlega wątpliwości. Gdyby to Kochaniem być nie miało, to, doprawdy, Kochanie nie istniałoby na świecie chyba.

Twierdzić więc z całą możemy pewnością, że kochała go Ruchla i kochała go panna Helena.

Szczęśliwy człowiek! Niejeden na jego chciałby się znaleźć miejscu. Miłość, panny Heleny zwłaszcza, podszycita posagiem krociowym, zawierała w sobie ponęty, do opisania których potrzebna pióra, umiającego malować uczucia delikatniej niż moje. A i miłość Ruchli bez ponęt nie była. Z dobrego wiem źródła, że amatorowie wysoko cenią Kochanie Żydówek, mające w sobie żar wschodu i uroki raju. Kazmirz jednak w tém osobliwem znajdował się położeniu, iż nie wiedział ani o tém, ani o owém, i gdyby mu kto powiedział że Kochanym jest przez dwie kobiety, to przyszlaby mu na myśl pierwsza matka i więcej żadna. Matczyisko kochało go—o tém wiedział z listów, jakie Józef dostawał raz na rok. Wiedział oraz, że kocha go i ojciec, ale pod warunkiem, ażeby mu się na oczy nie pokazywał. Stary obrażony się czuł w miłości swojej własnej. Kazio nie tylko go nie posłuchał, ale jeszcze zbурzył plan, jaki względem niego powziął, zawiódł zaufanie w nieomyślność pociegi. Tego mu przebaczyć nie mógł.

— Niech—powiadał—Pan Bóg mu tam sekunduje. Wdał się z książkami, niechże się ich trzyma. Jeżeli się chce ze mną widzieć, to niech pierwój wszystkie książki spali.

Warunek ten niewykonalny świadczył tylko o zaciętości starego szewca, któremu przecież rzecz jedna szyki mieszała. Pewnym był, że Kazmirz księdzem zostanie.

To nam tłumaczy, dlaczego bohater nasz trzymał się od rodziców zdaleka. Dziwactwo ojcowskie pozbawiło go rozkoszy uścisków rodzicielskich i nakazywało mu poprzestawać na rzadkich o zdrowiu ich i powodzeniu wiadomościach. Starym wiodło się niezłe. Józef odwiedzał ich razy parę i przywoził Kazmirzowi błogosławieństwa od matki i ojca.

Owóz matczyne Kochanie było dla niego artykułem wiary. Kochać innych ani się domyślał.

Cóż wprawdzie—cóż takiego nasuwało się mu ze strony panny Orchowskiej, do rozpatrzenia a toli i zanalizowania owego „czegoś“ czasu mu brakło. Kochanie się wymaga swobody ducha. Jest to warunek sine qua non do prowadzenia romansu, bez którego obyć się może Kochanie, ale nie Kochanie się, pozostające do Kochania w stosunku takim, w jakim natchnienie słowika śpiwającego w lesie, pozostaje do natchnienia wirtuoza, dającego koncert w sali teatralnej. Kochanie bez „się“ i Kochanie z „się“ są to dwie rzeczy całkiem różne. Pierwsze przychodzi samo, nie przeszkadza niczemu, nie domaga się niczego i odznacza się bezinteresownością absolutną; drugie działa, kręci się, burezy, deklamuje, oczy zawraca, westchnienia roni, zębami zgrzyta, pojedynkuje się i więsze pisuje, pod przewodnictwem własnego „ja.“ Język nasz, w wyrażeniach swoich logicznieszy od wielu innych, nadaje czasownikowi „kochać się“ znaczenie specjalne, odmienne od czasownika „kochać.“ Ten ostatni jest przechodnim, tantem zwrotnym. Pierwszy oznacza czynność wychodzącą na zewnątrz i spływającą na kogós, drugi oznacza czynność zwracającą się wewnątrz, w sensie romansowym. Kochać się a kochać siebie, znów jest co innego. Żaden język, z wyjątkiem naszego, nie cieniuje wyrazów podobnie.

Bohater nasz kochał pannę Helenę, kochał ją szczerze, serdecznie, co wyrażał w ten sposób, że przeszczepiał z siebie w nią wszystko, co przeszczepić się dawało, czyniąc to z bezinteresownością zupełną. Czego tylko od niego zachęcała, wszystko jej dawał, często nawet chęnie jej wyprzedzał i roli nauczyciela na siebie nie brał. Nie-

wiadomo, czyby tak samo nie kochał i Ruchli, gdyby się z nią zszedł, jak z siostrą Frania, gdyby pomiędzy nim a córką Nuchima nie istniał „rów i przedział“ pod postacią wychowania, ukształcenia, poloru i przesądów.

Ona go kochała, a może kochała się w nim; on o tém nie wiedział. A chociażby i wiedział, co by na tém zyskała ona? co by zyskał on? Kazmirz, z pewnością, nie zyskałby nic, chociażby dla tej przyczyny, że jakoś około tego czasu, w którym pani Ewelinie naszymi zginął, znalazł się pod naciskiem chlebowej potrzeby.

O! potrzeba ta... ileż to ona skrzydeł połamała... Bohater nasz tej nawet pociechy nie miał, iżby się uznawał geniuszem niepoznanym. Nie miał siebie za geniusz. Wydawało się mu, że za krótko pracował i zamało jeszcze umiał, ażeby zaprodukować się mógł z dziełem, któreby na niego uwagę zwróciło i byt mu zapewniło.

A tu potrzeba przyciskała.

Oszczędności wyszły doszczętnie; dochody dawały środki nader szczupłe. Konieczność wynalezienia sobie zajęcia jakiego chlebobajnego nasuwała się coraz to natrętniej.

Kazmirz, czytując dużo, czytywał też i dzienniki i w jednym z nich spotkał się z kwestją honoraryów autorskich. Zajęło go to. Począł się w publicyście rozpatrywać pilniej i dostrzegł, że jest ona niczém inném, tylko gawędziarstwem skrytalizowanym, ułatwiającém porozumienie się wzajemneludziom, jednym od drugich na mil tysiacyce oddalonym i weale się nie znającym. Za pomocą gawędziarstwa tego, Amerykanie, Europejczycy, Australczycy i t. p. udzielają sobie wiadomości, uwag, spostrzeżeń i projektów, uwiadniają się, naradzają, strofują i ucząją, trzymając się na poziomie jaknajpopularniejszym, przez wzgląd na czytelników ze stopniem ukształcenia umysłowego jaknajmniejszym. Pożyteczność publicystryki w oczy mu się rzuciła. Poznał że i on mógłby na to pole wejść i pracować z pożytkiem dla ogółu i dla siebie, opracowując w sposób przystępny i zajmujący dział nauk, w którym się czuł mocnym.

— Ha...—powiedział sobie—trzeba przelézć, gdzie przeskoczyć nie można.

Zasiadł przy stole, napisał tchem jednym artykuł p. t. „O ciepłe i zimnie, według Tyndalla,“ wynotował sobie spis pism czasowych, wychodzących codziennie, tygodniowo i miesięcznie i, westchnawszy—w piersi bowiem doznał czegoś nakształt ściśnienia—udał się w obchód po biurach redakcyjnych.

Zakolatał do pierwszego i wszedł do izby podługniej, w której przy dwóch stołach siedziało i pisało ludzi dwunastu.

— Pan redaktor naczelny?...—zapytał pierwszego.

Zapytany podniósł na niego oczy, popatrzył i odwrócił się, nie odpowiedział.

Początek ten nie był zachęcający.

— Pan redaktor?... zapytał drugiego.

Ten spojrział się na niego i na naprzeciw siedzącego kolegę, mrugnął i uśmiechnął się. Uśmiech ten poszedł wkoło i z jednego stołu przeniósł się na drugi. Kazmirz posuwał się tymczasem powoli pomiędzy stolami i, doszedłszy do przeciwległego końca takowych, znalazł się wobec wótp-przymkniętych drzwi, za którymi ujrzął pulpit, a przy nim człowieka małego wzrostu, dobrej tuższy, pucolatowej twarzy, w wielkich okularach na nosie. Jegomość ten skierował na bohatera naszego okulary.

— Pan redaktor naczelny?...—powtórzył Kazmirz, odchylając drzwi i przestępując próg.

— Do usług pańskich...—dala się słyszeć odpowiedź.

— Przyniosłem artykuł... Jeżeliby się przydał...—zaczął nieśmiało.

— Artykuł?... Artykułami zarzucony jestem... Cóż to za artykuł?..

Kazmirz podał rękopis.

— O ciepłe i zimnie według Tyndalla...—przeoczytał redaktor.

— Tyndalla...—poprawił Kazmirz.

— Uhm...—mruknął redaktor, głową zlekka wstrząsając.—Tłumaczenie...

— Nie tłumaczenie, lecz streszczenie, wykład popularny, w którym idę za wymienionym autorem.

Redaktor brwi namarszczył i oczy w rękopis wlepił, prowadząc niemi wzdłuż wierszy, jakby czytał.

— Styl chropawy, przedmiot nieinteresujący. Gdyby to jeszcze praca oryginalna... ale tak... Mam tego wyżęj uszów.

Rękopis oddał i oczy na leżący przed nim papier zwrócił.

Kazmirz cofnął się.

Udał się do drugiej redakcyi.

Przyjęcie jakiego tu doznał, więcej trochę było zachęcającem. Redaktor, człowiek młody, z przystrzyżoną brodą, wymuskanemi wąsami i pomadowanemi włosami, prosił go siedzieć i począł przebiegać artykuł oczami. Czytał z początku, następnie z końca, potem we środku. Zastanawiał się, myślał.

— Styl jest...—odezwał się wkońcu—pióro wprawne... Czy pan co już drukował?..

— Jest to praca moja najpierwsza, do druku przeznaczona...

— Hm... Bardzo mi przykro, że w piśmie swoim artykułowi temu miejsca dać nie mogę.. Gdyby o język chodziło, umieściłbym go chętnie, język bowiem świetny, ale przedmiot nie angażujący... Zważać muszę na to, ażeby czytano co się drukuje, a któż czytać zechce o ciepłe i zimnie?... Radzę panu wybrać temat inny jaki...

Bohater nasz wyszedł z artykułem swoim wznadrzu, wskórawszy to tylko, że się dowiedział w jednym miejscu, iż ma styl chropawy, w drugim że świetny. Udał się w trzecie. Tam przyjętym został z uprzejmością wielką, ale nie zastał redaktora naczelnego w biurze. Wyszedł i już w dniu tym powrócić nie miał. Spółpracownicy przeglądali artykuł jego i utyskiwali:

— Szkoda!... co za szkoda!... Przed chwilą pan redaktor był jeszcze...

— Więc jutro...—rzekł Kazmirz.

— Jutro?... nie wiem...—odrzekł jeden.—Zdaje się że jutro nie przyjdzie weale.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYSTAWA POWSZECHNA PARYZKA

w roku 1878.

Pomimo tendencyjnych pogłosek, szerzonych przez prasę angielską i niemiecką, jakoby wystawa paryzka, „z powodu obecnych powikłań politycznych,“ miała być zaniechaną, przygotowania do tej wielkiej uroczystości międzynarodowej odbywają się bez przerwy. Wszystkie plany, dotyczące się tak ogólnego rozkładu całej wystawy, jak pałacu głównego i licznych gmachów pomniejszych, mających być wzniesionemi na olbrzymim polu Marsowém, zostały już przez komisją wystawową ostatecznie zatwierdzone, podług pomysłu p. Hardy, głównego architekta wystawy. Zdaje się więc nie ulegać wątpliwości, że Francya, mimo niechętniej zawiści spółzawodniczących z nią narodów, stanie z niemi do walki na polu najszlachetniejszém, na polu pracy w dziedzinie przemysłu, nauki i sztuki.

Rzeczywiście też niedorzeczność przypuszczenia, jakoby zawiąkania polityczne powstrzymały ją mogły od powziętego zamiaru, tak jest widoczną, że zbijać tych wieś i weale nie potrzeba. Od chwili otwarcia projektowanej wystawy oddziela nas jeszcze około półtora roku, a przeciąg to czasu aż nadto wystarczający na ukończenie i zapomnienie nawet wojny, jeżeli wojna już koniecznie ma być wpływem toczących się w tej chwili rokowań dyplomatycznych.

Przed kilku tygodniami daliśmy czytelnikom naszym plan szczegółowy gotującej się wystawy. Obecnie dopelniamy podaną wówczas krótką o niej wiadomość, zamieszczeniem rysunku głównego wnijscia na wystawę, podług zatwierdzonego świeżo projektu budowniczego Hardy.